



ROK LIX

№ 35

BLUSZCZ TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

WARSZAWA, 28 SIERPNIA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Skarb młodości — H. C. Kobiety-żeglarki — K. Muszałówna. Zamiast radja — M. B. Ł. Z Turcji Odrodzonej (korespondencja własna Bluszczu) — J. W. K. G. K. Chesterton o domu i kobiecie (przekład Zbigniewa Grabowskiego). Ktoś walczy z nikim — Z. Reutt-Witkowska. Kiedy już będziesz duży (d. c.) — Władysław Rymkiewicz. Jeden dzień na Maderze (kartki z higieny miłości, autoryzowany przekład z włoskiego Tadeusza Jakubowicza) — Paolo Montegazza. Córka Boga (d. c.) — Z. Zawiszanka. Tajniki świata zwierzęcego (d. c.) — Janina Maszewska-Knappe. Kobieta w świecie i w domu. Jan Brandt — N. Samotyhowa. Dział praktyczny: Kapelusik szydełkowy dla młodej panienki. Podkostjum — Well. Polska współczesna. Hafta ludowa — Jankowska-Oryużyna. Miraże — W. N...cka. Kurs przetworów owocowych — Pani Elżbieta. Czerwiec, czyli tarczyki — Stan. Schönfeld. Przepisy gospodarskie. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — Concha Espina (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). Arkusz wzorów.

SKARB MŁODOŚCI.

Dotychczas panują nad umysłami wielu bardzo rodziców stare komunały, że opieka macierzyńska bardziej i dłużej potrzebna jest córkom, niż synom, że w okresie dojrzewania, chłopiec przejść powinien pod opiekę ojca, pod wpływ nauczycieli, kolegów, przyjaciół, a nadewszystko, że przebyć musi stadjum, które starzy nasi nazywali „wyszumieniem się młodości”.

I zazwyczaj matki, przekonane przez przytaczane przykłady ojców i dziadów, przez głos opinii powszechnej, rezygnują, godząc się, choć z niepokojem w sercu, na tę mniemaną konieczność, to jakoby nieuniknione prawo życia.

I młodość chłopca „szumi”, a co przynosi z sobą ten „szum”, co porywa na wieczne nieoddanie, w to nie wnika się tak dalece.

Dotykamy w tem miejscu jednego z najważniejszych i najsporniejszych zagadnień wychowawczych i społecznych. Przez długi czas medycyna powaga swoją utwierdzała tezę podwójnej moralności: z różnic fizjologicznych, wyprowadzając wniosek o konieczności różnicy trybu życia dziewczyny i młodzięcia.

Co dla niej nie było koniecznością fizjologiczną, dla niego było nieodzownym atrybutem młodości, nawet warunkiem zdrowia.

Że przy tym układzie spraw ludzkich, istnieć muszą całe zastępy kobiet, uprawiających zawodowo życie niemoralne, to nie obchodziło medycyny, choć oczywiście niepokoiło moralistów. Piętrzyły się bowiem sprzeczności między prawem moralnym, którego chłopca uczono w szkole, a prawem przyrodzonym, które zaraz po wyjściu ze szkoły, albo i wcześniej, wykładał mu lekarz. Dziś medycyna nie stoi już

tak twardo przy tej swojej tezie, a ściślej mówiąc, są wśród lekarskich powag naukowych przedstawiciele wprost odmiennego poglądu. Wyrazem zmienionej też znacznie pod tym względem opinii sfer lekarskich i wychowawczych, jest dążenie do upowszechnienia sportów, do użytkowania nadmiaru sił fizycznych młodości, w ćwiczeniach, w ruchu, w emocjach wysiłku i współzawodnictwa.

Natomiast życie, to nasze współczesne powojenne życie, roztoczyło przed oczami młodzieży niepraktykowane dotąd bogactwo podniet erotycznych w postaci szczególnie pod tym względem zaakcentowanych widowisk, obrazków, książek i pism, piosenek ulicznych, nowych tańców, a nadewszystko żywych przykładów, że młódzież musi wśród tego wszystkiego przedwcześnie, pod względem erotycznym dojrzewać i musi chłonać duchowe i fizyczne trucizny.

Młodość!

Tyle przepięknych rzeczy powiedziano na jej temat:

„Ach tylko taką młodość nazwać piękną.
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękna,
Ale się staną niby harfą strojną.
I bite pieśnią zapалу, nie pękna!”

pisał Słowacki.

Apoteozował ją Mickiewicz, w przesławnej Odzie „Snem na kwiatkach”, nazywał Bogdan Zaleski.

Ale cóż z temi wszystkimi pięknościami ma wspólnego także np., najściślej autentyczny fakt?...

Na kilka lat przed wojną, w jednym z gimnazjów, postanowiła klasa cała, zaraz po zdaniu matury, upamiętnić ten fakt dowodem żęczyzny młodzieńczej. Na

zakończenie uroczystości, podczas której wybrano oczywiście całe morze górnych frazesów, maturzyści udali się gremjalnie do domu publicznego. Któżby im to miał za złe z ludzi „rozsądnych!” Wiadomo, młodość wyszumieć musi“.

A teraz przenieśmy się myślą w ostatnie miesiące bieżącego roku.

Do jednego z sanatorjów warszawskich przywieziono chorego. Po zbadaniu pacjenta, skonstatowano początki obłędu na tle syfilitycznym.

Przypadkowo obecny przy badaniu lekarz zainteresował się personaljami chorego.

— Kończył gimnazjum? Którego roku?

Zajrzano do papierów.

— Ach tak?! Tego tylko brakło mi do kolekcji. Ostatecznie znalazł się i ten!...

W słowach lekarza kryła się ponura tajemnica.

Wszyscy maturzyści z owego roku przedzej lub później ulegli w tej samej formie, straszliwej choroby; ten jeden opierał się najdłużej, ale w końcu i na nim dopełniła się klątwa przeznaczenia.

Oto co zrobili ci młodzieńcy z bezcennym skarbem młodości swojej!

Siły, zdrowie, piękność, talenty, aspiracje, duma ojców i matek, nadzieje społeczeństwa, miłość wybranej kobiety, radości ojcostwa... wszystko, wszystko przegrali tej jednej haniebnej nocy, wszystko rzucili w posępną odchłan obłędu!

Powie ktoś: nieszczęśliwy przypadek! Tak samo mogli zginąć wszyscy w katastrofie kolejowej, na wycieczce w góry, w podróży morskiej...

Zapewne, zapewne, ale są rzeczy cenniejsze, od wymienionych powyżej, a które traci się na drogach podwójnej moralności — to walory duchowe! I wtedy nie jest to już nieszczęśliwym przypadkiem — to wyrok powszechny!

Wiem, z góry, jakie będą na to odpowiedzi: „mężczyzna w życiu rozpustnym nie traci wartości moralnej“, „traci ją kobieta“.

„Dla mężczyzny — to potrzeba fizjologiczna — i nic więcej! Zapomina się potem!...“

Tak?

Ale powiedźcie mi, dlaczego w Polsce mamy tak wielu ślicznych i genialnych chłopców, a tak mało pięknych i zdolnych mężczyzn?!

Powiedźcie mi, dlaczego w dzieciach naszych jest tak wiele anielstwa, a tak mało idealizmu, tak ani szczyty niemal entuzjizmu w dorosłych mężczyznach?!

Powiedźcie mi dlaczego w więzieniach niema prawie wcale przestępczyni kryminalnych ze sfery oświeconej, a jest tylu inteligentnych mężczyzn pośród kryminalistów?!

To ta różnica życia!

To ta różnica moralności!

Czy nie zauważyliście, że to właśnie w okresie dojrzewania następuje najczęściej ta przemiana skauta—entuzjasty, w pospolitego zjadacza chleba i machera kariery?

Tej przemiany dokonały alkohol i rozpusta.

Z jakimż to nierozwiązalnym dylematem spotyka się ten dojrzewający młodzieniec?! Co innego mówi

mu religja, moralność, a co innego ta „wiedza tajemna“, w której arkana wtajemniczają go starsi—przyjaciele, koledzy, czasem sam ojciec..

Jest to okres burz zmysłowych, nie sprzyjających głębszym rozważaniom.

Burza ponosi! Chłopiec, o czysto polskim temperamentie zwłaszcza, macha ręką na „całą“ moralność, na wszystkie zasady religijne. I rozumuje słusznie, bo skoro nie są one prawdą na jednym punkcie, tedy mogą nie być i na innych.

Następuje załamanie się moralne, katastrofa, z której każdy wychodzi mniej lub więcej poszwankowany duchowo. W tej katastrofie spłonął, jak garść kądzieli, entuzjizm młodzieńczy, spłonęła wiara, uczciwa myśl o kobiecie, zdolność do czystej gorącej miłości... Miejsce ich zajął zgniły cynizm, trochę wstępu do samego siebie, dużo nienasyconej pożądlivosti na wszelkiego rodzaju zmysłowe użycie. To się nazywa, że chłopiec dojrzał, że z dziecka stał się mężczyzną.

Miłość!!

Nie wiercież matki, by najlepszą nauczycielką miłości dla synów waszych była prostytutka!

Dla matki myślącej i wrażliwej strasznie musi być przeświadczenie, że syn jej, niedawno dziecko, którego głowa spoczywała na jej kolanach, którego oczy czyste i pytające z najgłębszym zaufaniem tonęły w jej żrenicach, ponieważ się po podejrzanym spekulacjach, im wykwinniejszych, tem bardziej wyrafinowaną siejących rozpustę; że w tych norach występu naraża krew swą na zakażenie, a duszę na wieczystą jałowość, oschłą pustkę bez ideału i entuzjizmu.

Ma słusność matka, gdy się lęka, bo tam są dla jego młodości niebezpieczeństwa, groźniejsze niż w okopach, niż w ataku na bagnety. Tam grozi mu najpodlejszy gatunek śmierci, bo zawiniony brzydkiem życiem, tam bezcenny skarb jego młodości rozszarpia harpie żądź, tam bezwstyd ostatni strzęp czystości z duszy jego wydrze i w błocie unurza. Dlatego też niedorzecznością jest twierdzenie, że tylko córkom i córkom przede wszystkim potrzebna jest opieka matczyzna. Córkę strzeże prastara moc obyczaju, strzeże ją może i jej odmiennosc fizjologiczna i psychiczny wstępn do szpetności życia. Synowi, obyczaj sam otwiera drogę, zachęca go poniekąd... a właściwości fizyczne ustroju ponoszą.

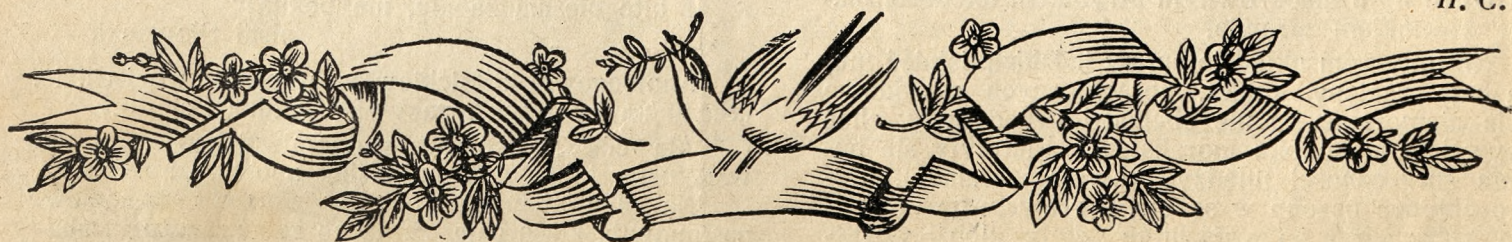
Dlatego właśnie w tych momentach przełomowych, gdy z dziecka wyrasta na młodzieńca, z młodzieńca na mężczyznę, potrzebna mu jest najbardziej opieka i powiernictwo dobrej i mądrej matki.

Ale trzeba go sobie przedtem odpowiednio wychować. Trzeba posiadać bezwzględne zaufanie syna—dziecka, trzeba tkanki jego duszy nastroić na tak wysoki ton, by „biło wciąż pieśnią zapału“, by stały się „harfą strojną“, na której w żaden sposób wygraćby się nie dało bezecnej piosnki ryszotkowej. Trzeba też samej wiele wiedzieć, przemyśleć wiele!

Pierwszy raz na łamach „Bluszczu“ poruszając dziś ten temat w dłuższym artykule, polecamy uważnie matek, garść tych luźnych myśli.

Sądźmy, że nie powinny one pozostać bez echa.

H. C.



KOBIETY - ŻEGLARKI.



d najdawniejszych czasów przedziwny urok morza wydawał światu wielkich swoich poetów, zapach słonej wody i wolne poduchy nieogarniętych przestworów morskich wabiły ludzi ku morzu, dając im w nagrodę niezapomniane wrażenia beztroskiej włości. Wciąż niby jednak, a jednak ciągle inne fale oceanów pisały niezatartymi głoskami to najcudowniejsze, najbardziej człowieka pociągające słowo — *Przygoda*, stwarzając jedyny w swoim rodzaju, morzu specjalnie właściwy, typ błędnych rycerzy, zakon romantycznej włóczędzy poświęconych dziwaków.

Ziewająca nuda wielkomiejskich okien, gwarliwy rejwach ulic, ciągle te same i wciąż jednakowe deptaki dróg, skrupulatnie wychodzone bruki tam i z powrotem do codzien tych samych celów, nieustanna szaryzna codziennego dnia, doskonale wpasowanego w tryb nieodmiennego schematu, starannie nakreślonego małymi warunkami życia — oto zwykłe znaki przebywanych latami etapów, znaki, wypędzające ludzi spragnionych szerokiego oddechu, otwartych aż do bezkresów przestrzeni — na wielki, otworem stojący przed każdym, nieznanym obliczem patrzący świat Przygody.

Cóż mocniej wzywać może człowieka na szeroki szlak Przygody — aniżeli potężny rytm morskich fal, słony posmak niezmiernych wód, zapach wiatru od morza?

Może jedynym swym czarem, nawet w wieku dwudziestym, w wieku wszelakich udoskonaleń i wynalazków cywilizacyjnych, w wieku wspaniale zorganizowanego życia, podzielonego umiejętnie na krótkie codziennych zajęć, obowiązków i małych przyjemności, potężnym swym głosem zwabiło silne natury ludzkie na wielki swój ocean przestrzeni. Nie każdy przecież chce pozostać niewolnikiem cywilizacji, nie każdy chce prowadzić życie skrepowane i sztuczne, tak jak nie każdy znowu potrafi upić się bezmiarom przestrzeni, żarem słońca, zapachem powietrza, zatraskując za sobą na długi czas bramy kamienic.

Największym, najwspanialszym błędnym rycerzem morza dwudziestego wieku jest bezsprzecznie Alain Gerbault, Francuz z pochodzenia, którego przygoda na bezmiarach Atlantyku interesować nas będzie nie tylko jako jedna z największych epopei współczesnego wieku, ale także i dlatego, że wywołała ona przygodę inną, rozegraną również na dalekich wodach mórz, w warunkach podobnych, autorem której były dwie młode kobiety, pierwsze żeglarstwo poświęcone argonautki.

Oto w krótkich słowach opis włóczegi Gerbault. 6 czerwca 1923 roku, Gerbault, znany sportsman i lotnik, na małym yachcie, sam jeden, wyjechał z portu w Cannes, zamierzając przebyć całą rozległość Atlantyku. Stateczek Francuza był zwykłym angielskim cutterem wyścigowym o pojemności 8 tonn, nazwany „Firecrest”. Na pokład swego statku zabrał Gerbault żywność, łóżko, stół składany, maszynkę spirytusową oraz pompy, a także — zdobyte trofea tenisowe oraz z 200 tomów złożoną bibliotekę, składającą się z ulubionych powieści o przygodach na morzu.

Zamierzona podróż na maleńkim stateczku nie mogła, rzecz prosta, odbyć się bez przygotowań. Przez

rok cały jeździł Gerbault na morzu Śródziemnym, zaprawiając się do przyszłej swojej wielkiej podróży.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym Gerbault wyruszył z Cannes, by przybyć do Gibraltaru, a stąd bezpośrednio już poprzez fale Atlantyku — do New-Yorku.

Niezwykłe trudy drogi, walka z wiatrami i burzami, ustawiczne reparacje uszkodzanego przez burzę „Firecrestu”, nieustanne czuwanie, walka z własną słabością, ani na chwilę nie zdołały zachwiać woli śmiałego żeglarza, który, pomimo straszliwego zmęczenia fizycznego, nie przestawał cieszyć się swą podróżą, ani przez chwilę nie marząc o powrocie. Cóż dosadniej i plastyczniej odzwierciedlić może nam niezwykłą zaistnienie postawę moralną zmęczonego długotrwałą walką z burzą żeglarza, jeśli nie fakty następujące: płynąc na poważnie uszkodzonym „Firecrest”cie, spotyka Gerbault wielki statek angielski, który ofiarowuje mu pomoc. W odpowiedzi padają z ust jego słowa: „nic od nikogo nie potrzebuję. Sam sobie poradzę”. W chwilach najcięższych, w okresie najstraszniejszych burz, oto co pisze sam Gerbault o sobie: „miałem przeciwnika straszliwego — i radosny wśród burzy — śpiewałem wszystkie pieśni marynarskie, jakie znałem”.

Podróż dzielnego żeglarza francuskiego trwała cztery miesiące. Przez cały ten czas na przestrzeni przebywanych 4.600 mil. Gerbault walczył z oceanem sam jeden, bez odpoczynku, wśród ustawicznie grożącego niebezpieczeństwa, bez nadziei pomocy.

Ze wszystkich współczesnych, znanych nam wypraw na morze z jedynym tylko celem: wzywania do walki wielkiego i niebezpiecznego żywiołu morskiego, Gerbault bezsprzecznie stoi na ich czele. Stanowi on jedynie symbol, najdoskonalsze wcielenie ludzi dzielnych dnia dzisiejszego. Potrafił bowiem nie tylko porwać się na rzecz wielką, lecz — co ważniejsze — umiał wytrwać w warunkach, które u innych ludzi na samo tylko wspomnienie wywołują uczucie dreszczu.

Nic też dziwnego, że ów żeglarz nieustraszony, rycerz błędny Atlantyku, najlepiej ze współczesnych czynem swoim wyśpiewał nieukojoną tęsknotę człowieka do czynów wielkich, stawiając w historii sportu niezwykły rekord woli.

Kiedy Gerbault podniósł kotwicę swego małego statku, wyruszając na wielki pojedynek z oceanem, w porcie Cannes nieliczni żegnali nieustraszonego żeglarza. Wśród tych, którzy myślą tylko towarzyszyć mogli wielkiemu bohaterowi Atlantyku, znajdowały się dwie młodziutki panienki francuskie. Marthe Oulié i de Saussure. Żadna z nich nie miała jeszcze lat dziewiętnastu, lecz pomimo to każda tęskniła za odwiecznym rytmem morza, a wszystkimi kolorami tęczy grała im czarodziejską baśń — ta sama Przygoda, która oto ciągnęła za sobą na nieznane drogi Alaina Gerbault.

Posłuszne i powolne nurtującej w nich tęsknocie, za odważną włóczęgą — obie panienki jeździły na maleńkim własnym yachcie po wodach rzek francuskich. Kiedy Gerbault wyruszył na podbój Atlantyku — mały yachcik panienek, „Perlette”, odprowadzał go daleko w morze po lazurowych falach Śródziemnego. Dawno znikł na horyzoncie stateczek Gerbault’a — a młode dziewczyny wciąż siedziały, wpatrzone w punkt, poza którym znikł im z oczu ślad

wielkiego samotnika—włóczęgi, wsłuchane w muzykę własnych marzeń o podobnej, na własną rękę przedsięwziętej, morskiej włóczędze.—Zapewne w najcudowniejszych barwach, w najrozleglejszych kształtach — rysowała im nieznane, a tak gorąco pożądane wrażenia — Przygoda, kiedy na drobnej łupince, za ledwie siedmiometrowej długości, wracały z powrotem do miasta.

Szybko, bezlitośnie, wir życia miejskiego wciągnął obie panienki w kołowrotek codziennych zdarzeń. Studja uniwersyteckie pochłonięły je pozornie całkowicie i pozornie oddalały je na zawsze od młodzieńczych marzeń o włóczędze. Pozornie tylko. Bo aczkolwiek panna Oulié studjuje archeologię, zaś p. Sausure literaturę, urok morza ustawicznie wyciąga obie panienki na niedalekie wprawdzie, lecz stałe włóczęgi na dali morskiej. Prowadzone studja ani na chwilę nie zabijają w nich tej romantycznej gorączki, która się wciąż pali równym płomieniem w duszy przysięgłych żeglarek.

Nadchodzi wreszcie chwila, kiedy oddawna kołysana myśl o dalekiej wyprawie na morze stać się może rzeczywistością. Panna Oulié kończy swoje studja archeologii i uzyskuje od paryskiej „Akademii Napisów” jakąś misję do spełnienia na wodach morza Egejskiego. Obie żeglarki, w lot chwytają okazję. Na małych, dotychczas tak niezmordowanie przeprowadzanych wycieczkach na mniejszą skalę, zdołały wyrobić w sobie cnoty, dla żeglarza niezbędne. Zdołały potrzebne umiejętności techniczne, zaprawiły się fizycznie, wyrobiły w sobie niezwykły hart woli, wytrzymałości nerwowej i pogody ducha. Na wodach morza czują się niemal równie dobrze i pewnie, jak na podłodze starego uniwersytetu.

Z radością podejmuje się tedy panna Oulié proponowanej misji na wyspach morza Egejskiego. „Perlette” z szalonym pośpiechem zostaje przygotowana do pierwszej dalekiej podróży, przygotowana niezwykle starannie, pierwszy raz bowiem ta prawdziwa łupina zdawać ma egzamin swej dojrzałości wobec

wielkiej przestrzeni morza. Nadchodzi wreszcie dzień, w którym obie żeglarki z bijącym sercem od radosnego wzruszenia, siadają na swój maleńki stateczek, a rozpięte żagle chwytają pełny wiatr, porywający je na pełne morze. W dniu 10 kwietnia 1923. z portu Pireus rozpoczyna się włóczęga.

Od owego kwietniowego dnia nastał dla obu żeglarek szczęśliwy okres, w którym przygoda karmiła je mocą i wielkością wrażeń dotychczas nieznanymi. Do dnia dwudziestego lipca, a więc przez dni około stu, nie nocowały ani razu poza swoim vachtem. Otworem stały im wszystkie wielkie, od natłoku ludzi i rechwachu miast wolne szlaki dróg morskich, otworem im stały wszystkie najciekawsze porty, światy, prawdziwe okna na nieznane lądy. W pięćdziesięciu portach zarzucały swą maleńką kotwicę, ładując na przeróżnych nienazwanych słownikiem geograficznym przystaniach rybackich, unikając rozmyślnie portów wielkich, zatłoczonych.

Przeżyły o własnych tylko siłach, uśmiechając się do groźnych fal morza, niestrudzenie pracując przy sterze i żaglu, mil morskich tysiąc siedemset. Na owym milami morskimi wyznaczonym szlaku—stworzyły najprzedniejszą epopeę żeglarstwa kobiecego, zostawiły ślad dumnej gorączki szlachetnego romantyzmu, który wiecznie płonie w ich duszy.

Z tej swojej na dalekie morze wyprawy wróciły nowoczesne argonautki do codziennej pracy zawodowej, które umilać będzie barwami fal morskich ukolorowane wspomnienie, a blasków życia dodawać marzenie o innych, bardziej dalekich, bardziej śmiałych wyprawach.

Kto wie, niedługo — być może — znów wieści o nowej ich włóczędze przyniesie nam wiatr od morza, a do cudownych przeżyć ich wtargnie nowa, stukolorową tęczę naznaczona przygoda.

Kto raz zaznał dziwnego czaru muzyki morskich fal — czyż zdoła oprzeć się kiedykolwiek nowemu wołaniu od morza?

K. Muszałówna.

ZAMIAST RADJA.

OCHRONA PRACY.

Pojęcie ochrony pracy nie jest jeszcze należycie rozumiane w społeczeństwie polskim. Zdarza się, że nawet ludzie wykształceni oburzają się na z a k a z zatrudniania robotników ponad ustawowe 8 godzin na dobę. Pozornie wygląda na to, że, przy swobodzie każdej jednostki rozporządzania swoją osobą, nikt nie ma prawa przepisywać robotnikowi, by pracował tyle, a nie więcej. Ale wnuknąwszy w rzecz głębiej, przekonywujemy się, że takie rozumowanie jest błędne — i to nawet z dwóch względów. Formalnie błędem jest powoływać się na swobodę jednostki rozporządzania własną osobą, jeżeli jakiekolwiek prawo obowiązujące swobodę tę ogranicza. Jeżeli, na przykład, podczas stanu wyjątkowego istnieje zakaz wychodzenia na ulicę po określonej godzinie, to każdy z nas pojmuję, że jest to wyjątek od ogólnej zasady, wyjątek oparty na rozporządzeniu prawnym, a więc obowiązujący nas, chociażby sama zasada uznawana była przez nas za niesłuszną. Zasada zaś 8-godzinnego dnia pracy, przyjęta dziś w całym świecie cywilizowanym, opiera się na badaniach higienicznych i społecznych, które dowodzą, że dla normalnego życia potrzeba człowiekowi

8 godzin pracy, 8 godzin snu i 8 godzin wypoczynku. Idąc jednak za przytoczoną powyżej nicią rozumowania, można by zgodzić się z temi wymaganiami teoretycznymi, lecz wprowadzenie ich w życie uzależnić od dobrej woli samych pracujących. Skoro bowiem wiadomo, że taki ma być podział dnia człowieka pracy, niechaj on sam tego podziału przestrzega, zakaz ustawowy może być zupełnie zbyteczny. Tu jednak dochodzimy do istoty ochrony pracy; zakazy i przepisy ochrony pracy nie są zbyteczne, przeciwnie — są konieczne, zachodzi bowiem potrzeba ochrony robotnika przed nim samym, przed jego ciemnotą i nierozumieniem własnego dobra, przede wszystkim zaś przed jego warunkami życiowymi, które każą mu brać wszelką pracę, aby tylko nie umrzeć z głodu.

Wzięliśmy dla ilustracji 8-godzinny dzień roboczy, gdyż jest to zagadnienie najpopularniejsze w dziedzinie ochrony pracy. Zresztą w stosunku do pracowniczego ograniczenia czasu pracy przez ustawę jest szczególnie ważne. Pod tym samym nagłówkiem miałam już sposobność parokrotnie przypomnieć, że ogromna liczba kobiet poza pracą zarobkową pozadomową musi

pełnić wiele uciążliwych obowiązków domowych. Te wszystkie, nawet przy 8-godzinnyim dniu roboczym, są stanowczo przeciążone. Przepis, zabraniający zatrudniać je dłużej niż 8 godzin na dobę, jest dla nich szczególnie pożyteczny. To też zanim jeszcze przepis ten został wprowadzony dla ogółu robotniczego, obowiązywał on w wielu krajach początkowo przynajmniej w stosunku do kobiet. Tak jest dotychczas w Stanach Ameryki Północnej, gdzie dotąd niema ustawowego określenia czasu pracy mężczyzn, ale przeważnie istnieją przepisy specjalne, ograniczające dzień pracy robotnic i pracownic umysłowych.

Prócz ograniczenia godzin pracy przepisy ochronne o czasie pracy kobiet zawierają przeważnie zakaz pracy nocnej, wraz z określeniem pory odpoczynku nocnego. Oba te punkty są uwzględniane w ustawodawstwie polskiem, które zabrania zatrudniać kobiety w czasie od 8 wieczorem do 6 rano.

Zakaz pracy w porze nocnej stanowi wogóle jeden z pierwszych przepisów ochrony pracy kobiet. Już na kilka lat przed wojną światową państwa europejskie porozumiewały się, by zakaz ten uczynić przepisem międzynarodowym. Pierwsza zaś po wojnie międzynarodowa konferencja pracy, odbyta w Waszyngtonie w 1919 roku, uchwaliła konwencję, w myśl której w państwach zrzeszonych w istniejącej przy Lidze Narodów Międzynarodowej Organizacji Pracy, praca kobiet w porze nocnej powinna być wzbroniona. Wszystkie te opinie wychodzą z założeń natury higienicznej i moralnej. W ostatnich jednak latach daje się wyczuwać poważny zwrot w poglądach na pożytek takiego zakazu. Między innymi robotnice amerykańskie, a ostatnio znów międzynarodowy kongres kobiecy w Paryżu wypowiedział się przeciwko zakazowi pracy nocnej kobiet. Zachodzi bowiem obawa, że przy szerokiem zastosowaniu tego zakazu kobieta utraci sposobność zarobkowania w zawodach, najkorzystniejszych i skądinąd odpowiadających jej uzdolnieniom. Jako zawody tego rodzaju wymienię w naszych stosunkach pracę w telefonach z jednej, zaś pracę w fabrykach włókienniczych z drugiej strony. Uważając wszelkie zacieśnienie pola zarobkowania za ujmę materialną dla ogółu kobiecego, a tem samem za niebezpieczeństwo, mogące pociągnąć za sobą skutki natury moralnej, musielibyśmy uznać zakaz pracy nocnej kobiet za szkodliwy dla nich, mijający się ze swym celem. Jednakże ustawodawstwo ochronne międzynarodowe i poszczególnych państw stoi dotąd na stanowisku odmiennem, a trzeba przyznać, że jest ono

przecież owocem stuletniego doświadczenia i głębokich studjów. W każdym bądź razie sprawa ta może podlegać dyskusji.

Inną kategorię przepisów ochronnych dla robotnic stanowią zakazy zatrudniania ich przy robotach szczególnie ciężkich, lub szkodliwych dla zdrowia. Tutaj należą: prace związane z podnoszeniem nadmiernych ciężarów; roboty przy pewnych substancjach trujących, oddziaływujących ujemnie bądź na zdrowie samej kobiety, bądź na jej potomstwo, takich np. jak siarka, ołów i wiele innych; roboty w kopalniach pod ziemią, oraz wogóle zatrudnienia, nieodpowiednie dla organizmu kobiecego. Ponieważ zatrudnień tych jest liczba dość znaczna, przeto zachodzi potrzeba wydawania szczegółowych wykazów tych prac, w których kobiety bezwzględnie nie powinny brać udziału, lub też przepisów, określających środki, których zastosowanie może zapobiec niebezpieczeństwom związanym z pracą. Te ostatnie przepisy nakazują, na przykład, przy stosowaniu pewnych substancji trujących, zwierzchnią odzież przy pracy dla zapobieżenia wynoszenia trucizny poza fabrykę (w fabrykach tytoniowych!), urządzenie umywalni i łazienek, umożliwiających oczyszczenie skóry od pyłu i trucizn i t. p. Tam, gdzie praca odbywa się w atmosferze zanieczyszczonej kurzem, winny być należyte urządzenia wentylacyjne. Podobnie dla odprowadzania wydzielających się przy pracy gazów szkodliwych dla zdrowia. Częstokroć wskazane jest stosowanie respiratorów, masek ochronnych, zabezpieczających przed przenikaniem iadu lub pyłu do organów oddechowych.

W roku ubiegłym wydany został w Polsce spis robót, zabronionych kobietom, ze względów zdrowotnych, lub bezpieczeństwa. Spis ten ujednolicił dany dział przepisów dla całego państwa.

Niewątpliwym brakiem w naszych przepisach ochronnych jest nieuwzględnienie możliwości siedzenia przy pracy. We Francji, Niemczech i innych krajach zwrócono uwagę na wielką szkodę, jaką organizmowi kobiecemu wyrządza całodzienna praca w pozycji stojącej, i nakazano pracodawcom dostarczenie odpowiedniej ilości stołków (Sitzgelegenheit). Mimo to musimy uznać istniejące w Polsce przepisy w zakresie ochrony pracy kobiet za zakreszone na szeroką skalę, a braki w opracowaniu szczegółów złożyć na młodość całego naszego ustawodawstwa wogóle i na trudności, z któremi się ono spotyka, przedewszystkiem, skutkiem złego stanu gospodarczego kraju.

M. B. Ł.

Z TURCJI ODRODZONEJ.

Korespondencja własna Bluszczu.



O pierwszych przelotnych wrażeniach, zaznaczonych w poprzedniej korespondencji, należy nam głębiej zajrzeć w życie Turcji powojennej i zbadać doniosłość zachodzących w niem przemian.

Rozglądamy się po Konstantynopolu. Składają się na tę stolicę jakby dwa całkiem odmienne światy. Turecki złożył swoje lary i penaty w Stambule, europejski roztoczył swoją pseudo-cywilizację na Pera, która jest środowiskiem handlu, stworzonego przez Lewantyńczyków, tak zwani są tutaj mieszkańcy wszelkiej, obcej narodowości.

Gdybyż to wraz z Europą wtargnął na muzułmański wschód tylko handel i przemysł, ożywiając środowisko martwe i zaniedbane, ale równocześnie nastąpiło opamiętanie i podporządkowanie miejscowej ludności i ciągnięcie z niej doraźnych, materialnych korzyści. Rządy sultańskie, okrutne i despotyczne, sprzyjały temu stanowi rzeczy, wyniszczając Turcję i czyniąc ją coraz więcej zależną od obcych wpływów, niejako obcą prowincją. I oto oglądamy jeden z pałaców zdegradowanego i wygnanego z kraju ostatniego sultana przez przywódcę nowego rządu republikańskiego: Kemala Paszę. Pałac ten, zwany Serajem, służyć miał za dożywczo-schronienie dla wdów sultańskich. Po-

łożony cudownie wśród kwiatnych ogrodów. składa się on z kilku odrębnych pawilonów; z okien jednego z nich roztacza się malowniczy widok na Bosfor i na otaczające go meczety i pałace. Jakże jednak smutne wrażenie sprawia ciemna komnata, gdzie na pryczach, dywanami okrytymi i ustawionymi wzdłuż ścian, spoczywały po całych dniach owe wdowy sułtańskie! Było pomiędzy nimi dużo kobiet młodych, bo harem władcy był ciągle świeżym towarem zasilany, a skazane zostały na dożywotnie więzienie. Nawet do ogrodów, otaczających pałac, a ciągnących się coraz niżej ku miastu spadającymi tarasami, schodzić im nie było wolno. Próżniactwo tylko i słodycze, to była treść ich smutnego życia. Chlubą geniuszu tureckiego, a ponieważ hańbą rzekomej cywilizacji europejskiej, jest, że to nie ona właśnie, pomimo osiągniętych wpływów, wprowadziła reformy i całkowitą zmianę w obyczajach tureckich, a natomiast sam naród wydobyl z siebie siłę twórczą i pragnie wszystko zło, które w społeczeństwie w ciągu wieków narosło, wyrwać i wykorzenić. Tak jest i z kwestją kobiecą.

Tu już trzeba walczyć z religją mahometańską, z Islamem, który ten poniżający stan rzeczy uświęcił, trzeba zwyciężyć w psychice kobiecej wrośnięte w nią niewolnictwo, właściwe jej umiłowanie tradycji i starego obyczaju. Zapanować nad tym nastrojem mogłoby tylko rozumnie zorganizowane szkolnictwo; przypatrzmy się, jak ono jest postawione w Turcji i w jakim stopniu korzystają z niego kobiety. Szkoły duchowne, t. zw. medresy, zostały przez rząd republikański zamknięte, a było ich w Turcji 479. Stanowiły one ogniska największej ciemnoty, szczęściem więc jest, że dziewczęta, jako niższy gatunek ludzki, nie były do nich dopuszczone; już lepsze nawet okazało się domowe wychowanie, przyuczające do pięknych haftów i robót ręcznych. W wyjątkowych wypadkach, wyżsi dostojnicy tureccy posyłali swoje córki do zakładów wychowawczych katolickich, które organizowane przez zakonnice pod nazwą *Notres Dames de Lyon*, gęsto są po całym prawosławnym i muzułmańskim wschodzie rozsiane. Tam jednak musiano unikać wszelkiego wpływu religijnego na uczennice. Dopiero Republika dopuściła możliwość zakładania szkół świeckich, i do reform *Kemala Paszy* należy dopuszczenie do nich kobiet. Stworzono jedno liceum kobiece w Konstantynopolu, a nawet, o dziwo, jedno koedukacyjne.

Bedąc na wystawie obrazów młodych malarzy tureckich, nawiasem mówiąc, bardzo słabej, artyści bowiem wschodni, naśladować wzory francuskie w sztuce, nie umieją uwiezić na płótnie ani gorącego słońca swojej ojczyzny, ani świetnych barw roślinności, spotkałam jedną młodą dziewczynę turecką, w szkole nowożytnej wychowaną. Była śliczna, czarno ubrana, na głowie miała zawój z błyszczacej zielonej gazy, nie odważyła się bowiem jeszcze na włożenie kapelusza. Podczas jednak, gdy ojciec jej, nauczyciel gimnazjum męskiego, w którego auli urządzona została wystawa, objaśniał nas chętnie, wyrażając się doskonale po francusku, dziewczynka, „hanum“, tak nazywał ją ojciec, milczała, uśmiechając się tylko, nie znając bowiem żadnego obcego języka. Do niedawna istniało w Turcji prawo, a prawdopodobnie i dziś pozostało w obyczaju, że mężczyzna mógł, a nawet powinien był, zastrzelić cudzoziemca, który z jego żoną lub córką pozwolił sobie publicznie rozmawiać. Dla uniemożliwienia podobnych konfliktów nie uczono dziewcząt żadnego obcego języka. Spotykaliśmy też w ogrodzie sułtańskim w Ildiz Kiosku, dziś zamienionym na publiczny park spacerowy, kobiety o typie już wyzwolonym od przesądów, a więc czarno jeszcze

ubranych, z wełnem jednak z twarzy odrzuconym, które widząc cudzoziemki, zaciekawione pytały się tylko „franka“ czy „polaka“, ale nic więcej powiedzieć nie umiały. Miło nam było patrzeć na uradowanie ich twarzy, gdy posłyszały odpowiedź „polaka“.

W Turcji, naogół, są nam bardzo życzliwi. Ale trzeba się było udać do tych „najmądrzejszych“, już całkowicie wyzwolonych, które, z pomocą wybitnych osobistości ze sfery rządowych, stworzyły Towarzystwo „Obrony kobiety tureckiej“. Przedtem jeszcze jednak zwiedziłyśmy wystawę pracy kobiet. Hafty złotem i jedwabiami wykonane, wspaniałe dywany i trochę pięknej, haftowanej bielizny, zresztą nic wybitnego. W rodzaju kiosku siedzi jedna ze stowarzyszonych i u niej zamawia się i płaci zakupione przedmioty. Cóż to znaczy? Tak sam kwef zakonny okala jej twarz, jak u innych, na zapytanie odpowiada tylko przeczącym ruchem głowy, nie rozumie po francusku. A więc reforma nie dotknęła gruntownie Stow. obrony kobiety tureckiej? Szczęściem zbliża się do nas śliczna pani w paryskim stroju; rysy jej zdradzają jednak pochodzenie egzotyczne. To egipcjanka, jedna z przywódczyń tamtejszego ruchu kobiecego. Objasnia nas uprzejmie i dokładnie, daje adres Stow. kobiet tureckich w Stambule, który stanowi część muzułmańskiej stolicy, oddzieloną mostem na Bosforze od dzielnicy europejskiej. Udajemy się tam wkrótce. Zastajemy szczęśliwie przewodniczkę Związku, panią Neziha, Muhedine hanum, nauczycielkę z zawodu, kobietę bardzo energiczną i pracowitą. Wiedząc, że starsze pokolenie kobiet tak silnie wrosło w przesady i dawne obyczaje, więcej uwagi zwraca na wychowanie młodzieży na nowych zasadach.

Dajemy jej kilka pytań. „Jak stoi obecnie sprawa zniesienia wielożenstwa?“ „Przedstawia się ona tak“, odpowiada, „że nie tylko wiele kobiet jest jeszcze przeciwnych reformie w tym kierunku, ale i stosunki finansowe nie pozwalają na jej ostateczne rozstrzygnięcie. Oddalone żony trzeba odpowiednio wyposażyć, trzeba łożyć na ich utrzymanie, a zubożone wojnami społeczeństwo tureckie zdobyć się na to nie może. Zarobki mężczyzn są tu obecnie znacznie mniejsze, tak jak i w innych krajach, w ostatnich czasach zdarzył się nawet wypadek, że turek, nie mogąc wyżywić licznych żon swoich, otrul je wszystkie“. „A czy kobiety tureckie nie oddają się wcale pracy zawodowej?“ pytamy.

„Przeciwnie“, słyszymy odpowiedź. „odkad mają one wstęp do liceów, postęp w tym kierunku idzie choć powoli, ale stale. Kobiety, dzięki goracemu rzecznikowi ich emancypacji: *Kemalowi Paszy*, pracują już w niektórych instytucjach państwowych, jak: telegraf, poczta, a nadewszystko szkoły, czego ja jestem dowodem“, dodaje z uśmiechem nasza uprzejma informatorka. „Pewna, niewielka liczba kobiet wstępuje na uniwersytet, co jest już zupełnym równouprawnieniem. Zajmują wprawdzie te nieliczne jednostki osobną ławkę i nie mieszają się z męskimi słuchaczami“.

„Czy różne prawa dla kobiet są prawnie zastrzeżone, czy też jedynie są stosowane drogą rozporządzeń rządowych?“

„Dotychczas uzyskiwałyśmy możliwość samodzielnej pracy, tylko dzięki rozporządzeniom rządowym, w ostatnich jednak czasach ułożony i zatwierdzony został nowy, republikański kodeks cywilny, w którym równouprawnienie kobiet jest wprowadzone. Co więcej, zawiera on paragrafy reformujące prawo małżeńskie przez wprowadzenie ślubów cywilnych i ułatwienie rozwodów“.

„A więc znajdujecie się panie w łatwiejszych warunkach, niż my, kobiety zachodnie“, mówimy, „o ile chodzi o zerwanie małżeństwa“.

„Nie zapominajmy jednak“, odpowiada nam pani Neziha Muhedine, „że to są dopiero początki, że reformy nie weszły jeszcze w krew i duszę narodu, że dużo przesądów mamy jeszcze do zwalczania. Więc też

tłumaczę z obcych języków podręczniki szkolne, urządzam kursy i odczyty dla lepszej przyszłości“.

Żegnamy serdecznie przewodniczącą Związku „Obrony kobiety tureckiej“ z przekonaniem, że postępek tu, jak wszędzie, zależy od energii i dobrej woli szlachetniejszych jednostek.

J. W. K.

G. K. CHESTERTON O DOMU I KOBIECIE.*)

Przekład Zbigniewa Grabowskiego.

I.



Można powiedzieć, że dom jest jedyną anarchystyczną instytucją. Znaczy to, iż instytucja ta jest starszą, niż pisane prawo i stoi poza państwem. Zgodnie ze swą naturą odświeża się ona i odnawia lub ulega zepsuciu i rozkładowi pod wpływem nieokreślonych, nieujętych w ramy prawne sił zwyczaju i związków krwi. Nie trzeba jednak sądzić, że państwo nie ma sposobu wkraczania w przeważną część i powagi państwa wzywa się nieraz i należy ich wzywać w wielu nienormalnych wypadkach. Ale państwo nie ma sposobu wkraczania po przeważną część normalnych przejawów radości i smutków rodziny. I to nie dlatego, że prawo nie powinno tam ingerować, ile że nie może tego czynić. Podobnie, jak są pola zbyt daleko odsunięte od chwytu ręki prawa, tak znowu istnieją pola, zbyt blisko dla niej położone — i człowiekowi może się przydarzyć, że zobaczy Bieguna Północnego prędzej, niż swój rodzony grzbiet. Drobne i bliskie sprawy unikają uwagi i kontroli w tym samym prawie stopniu, co rzeczy wielkie i leżące w dużym oddaleniu. Istotne, wewnętrzne cierpienia i wesela rodziny stanowią wymowny przykład. Jeżeli dziecko płacze i wyciąga rączki do jasnego miesiąca, policjant nie może żadną miarą ściągnąć księżycy na dół — bah, nawet nie potrafi zakazać małżeństwu krzyku i płaczu. Istoty stojące tak blisko siebie, jak mąż i żona, czy matka i dzieci, posiadają w sobie władzę i moc uszczęśliwiania lub unieszczęśliwiania się i na to żaden nacisk z zewnątrz, czy społeczne ograniczenia nie mogą mieć właściwie wpływu. Dziecko może należeć: być przywiązane do najbardziej nieszczęśliwej i niedoskonałej matki, — matka oddana i pełna poświęcenia dla niegodnych tego i mało wartych dzieci: w takich oto stosunkach legalny wymiar kary, czy sprawiedliwości jest zgoła niemożliwy. Nawet w nienormalnych wypadkach, gdzie prawo może wkraczać i działać, trudności w tym względzie bynajmniej nie znikają; wie o tem dobrze niejedyn zapatrzoną w literę kodeksu, opętany manją sprawiedliwości sędzia. Zdarza się, że ma on ratować dzieci od śmierci głodowej przez odebranie im żywicieli. To też często łamie on serce kobiety, ponieważ mąż nie omieszkał już przedtem rozbić jej głowy. Państwo nie posiada dość delikatnych narzędzi, by wyrwać zakorzenione zwyczaje rodziny, lub rozsypać splecione węzły jej uczuć. Obie płci, czy żyją ze sobą szczęśliwie, czy nie, są spójne zbyt ciasno dla nas, by można wsadzić między nie ostrze prawnego miecza. Kobieta i mężczyzna są w małżeństwie jednym ciałem — tak, nawet jeśli nie są jedną duszą... Na to odwieczne i anarchiczne zrośnięcie, na to intymne związanie formy rządu, czy ustroju wywierają mały wpływ lub nie mają go wcale.

Szczęście lub niepowodzenie tego związku jest zależne od harmonii płciowej i wrodzonych właściwości charakteru, zarówno w wolnej republice szwajcarskiej, jak pod knutem siamskiego despotyzmu. Nawet wprowadzenie republiki w Siamie nie pomogłoby wiele sprawie rozdzielenia „sióstr siamskich“.

Istota problemu tkwi nie w instytucji małżeństwa, ale w płci: wagę tej sprawy odczuwa się nawet w najbardziej wolnym pożyciu, czy konkubinacie. Pomimo wszystko bowiem, przeważna część ludzkości nie wierzy w wolność w tej kwestji, lecz raczej w więcej lub mniej trwałe i mocne związanie. Szczepy, rasy i cywilizacja różnią się na temat okoliczności, w których możemy rozplątać ten węzeł, lecz wszystkie godzą się w tem, że trzeba nam rozwikłać naprawdę węzeł, a że nie jest to jakieś zupełnie nieważkie i nieobowiązujące odłączenie się, czy odstanie. W zadaniach książki niniejszej nie leży rozważanie tego mistycznego poglądu na małżeństwo, który ja osobiście dzielam: tej wielkiej europejskiej tradycji, co wyniosła małżeństwo do godności sakramentu. Wystarczy stwierdzić, że tak poganie, jak chrześcijanie uważali małżeństwo za węzeł łączący dwie osoby, który zazwyczaj nie podlega rozdzierzgnięciu. Krótko mówiąc, ta ludzka wiara w więź płciową opiera się na prawdzie i zasadzie, którą nowoczesna myśl poddaje nader jednostronnym badaniom... A zasada ta polega na tem, że we wszystkim, co w życiu warte jest zdobycia i posiadania, nawet w każdej przyjemności, istnieje pewien moment przykrości, czy wstrętu, który należy znieść i przezwyciężyć, tak, aby czysta radość mogła odżyć na nowo i trwać dalej. Ochota bojowa przychodzi po pokonaniu pierwszego wstrząsu trwogi przed śmiercią, rozkosz z lektury Vergiliusa po trudach i męczotach szkolnego wyuczania się jego wierszy, wspaniała uciecha pływaka po opanowaniu dreszczu, wywołanego lodowatym dotknięciem morskiej wody. Powodzenie zaś i szczęście małżeńskie zjawia się po zakończeniu miodowych miesięcy...

Zasadniczym elementem stosunku między obiema płciami jest nie tyle czasowe trwanie, co poczucie bezpieczeństwa. Dwoje ludzi musi być złączonych, aby mogło świadczyć sobie usługi i czynić sobie wzajemnie sprawiedliwość: wszystko jedno, czy w ciągu dwudziestominutowego „tour'u“ tańca, czy przez dwa-

*) Uwagi niniejsze wyjęto z książki znakomitego pisarza, wydanej jeszcze przed wojną, p. n. „What's wrong with the world“. Warto dzisiaj przypomnieć myśli i aforyzmy autora „Napoleona z Notting — Hill“ na temat kobiety i domu: sądy Chestertona — choć często posługujące się bronią paradoksu — są zawsze ciekawe i śmiałe w argumentacji i ostatecznych wnioskach. Oryginalne, mocne porównania i przenośnie stanowią swoisty czar pism Chestertona. Pod pozorami „starszowiekości“ kryje się w powyżej wyrażonych poglądach katolickiego autora niejedna trefna przysłowia, niejedno wspaniałe w swej poezji i patosie ujęcie wiecznych problemów matki i domu. (Przyp. tłum.).

dziesięć lat małżeńskiego pożycia. W obu wypadkach chodzi o to, aby mężczyzna, zmęczony i zniechęcony w pierwszych pięciu minutach, przemógł się i starał się czuć dobrze i szczęśliwie. Przymus i ograniczenie jest rodzajem zachęty; natomiast anarchja (lub to, co niektórzy zwą wolnością) jest w gruncie przyniatająca i ciężka do zniesienia, gdyż odbiera nam właściwie ochotę do czegokolwiek. Jeślibyśmy wszyscy pływali w powietrzu, jak bańki mydlane, posiadając możność przesuwania się dokądkolwiek i o każdej chwili, praktycznym wynikiem tego stanu rzeczy byłoby, że nikt nie miałby nawet odwagi zaczynania rozmowy. Byłoby kwestją mocno kłopotliwą zacząć jakieś zdanie w poufałym szepcie, a potem krzyczeć dalszy ciąg, ponieważ rozmówcy zachciało się ulotnić niespodzianie w rejony swobodnego i bezkształtnego eteru. Dwie osoby muszą się trzymać mocno i blisko, by móc czynić sobie wzajemnie sprawiedliwość. Jeśli Amerykanie za powód rozvodu podają „niezgodność charakterów“, trudno mi pojąć, czemu dotychczas tam wszyscy nie są rozwiedzeni. Znałem wiele szczęśliwych małżeństw, ale nigdy nie udało mi się spotkać zupełnie zgodnej pary. Głównym celem małżeństwa jest iść i walczyć przez życie, oraz przetrwać zwycięsko moment, gdy owa niezgodność i rozbieżność staje się oczywista i niezaprzeczona. Albowiem mężczyzna i kobieta, jako tacy, nie są istotami zgodnymi i kroczą różnymi drogami.

...Rzuca się często pytanie: „czemu kobieta ma być materialnie zależna od mężczyzny?“. Odpowiemy na to, że wśród ludzi niezamożnych i praktycznych kobieta nie podlega tej zależności: przeciwnie, możnaby powiedzieć, że to raczej mężczyzna jest od niej zależny. Myśliwy porozdzierał i zniszczył ubranie na polowaniu — musi być zatem ktoś, co je naprawi. Rybak złapał w swoje sieci ryby — potrzebny jest ktoś, co je ugotuje i przyrządzi. Jest oczywiście rzeczą zupełnie jasną, iż te nowoczesne pojęcia, jakoby kobieta była tylko pięknym i mocno przyzepsionym pasożytem, zabaweczką *tec.*, zrodziły się ze smętnego zapamiętania się na te bogate rodziny bankierskie i plutokratyczne, w których bankier zwykł wychodzić na miasto, i stara się tam coś robić, podczas gdy żona bankiera udaje się na spacer po parku i nie zamierza robić nic wogóle. Ubogi człowiek, sprężgnięty z ubogą kobietą, to współnicy jednego interesu. Jeśli jeden z współników firmy wydawniczej zajmuje się kontraktami i rozmowami z autorami, podczas gdy drugi ma pieczę nad urzędnikami, czyż można powiedzieć, że jeden z nich jest zależny finansowo od drugiego?

...Ale ze wszystkich nowoczesnych pojęć, zrodzonych na gruncie dobrobytu i pieniężnego dosytu, najgorsze jest przekonanie, że dom jest czemś nudnym, szarem i nieciekawym. Wewnątrz domu (mówią zwolennicy tego poglądu) panuje martwa obrzędowość i uświęcony zwyczaj; poza drzwiami domu rozciąga się świat pełen przygód i zmienności. Jest to sąd człowieka bogatego. Osobnik zamożny wie, że życie jego domu pędzą ogromne i bezszelestne koła bogactwa: obsługują go całe legiony służby, a wszędzie obowiązują szybki i milczący rytuał. Natomiast perspektywy wszelkiego rodzaju swobodnego łązgowania, lub romantycznej niezwykłości otwierają się dlań z chwilą wyjścia na ulicę. Ponieważ ma pełną kasek pieniędzy, może próbować zabawy w włóczęgę. Najbardziej niesamowita jego przygoda kończy się w gabinecie restauracyjnym, podczas, gdy najbezbarwniejsza przygoda byle Michałka znajduje swój finał w komisariacie policji. Jeśli nasz włóczęga wybije szybę — zapłaci za nią, jeśli rozbije łeb jakiemuś gościowi, da mu od-

szkodowanie. Może sobie pozwolić (jak ów milioner ze znanej historii) na luksus kupienia hotelu, aby dostać szklankę dżynu. A ponieważ on, człek zbytku i wygody, nadaje ton wszelkiej niemal „postepowej“ i „oświeconej“ myśli, zapomnieliśmy niemal ze szczętem, czym jest naprawdę dom dla przeważającej części ludzkości.

Jest bowiem niezbitą prawdą, że dla ludzi o przeciętnych zasobach dom stanowi jedyne miejsce swobody i wolności. Ba! Jest to jedyne miejsce anarchji. Jest to dla nich jedyny punkt na ziemi, gdzie można sobie zmieniać nagle, ni z tego ni z owego, urządzenie i meble, robić eksperymenty lub dać upust swym humorom, czy kaprysom. Gdziekolwiek indziej się idzie trzeba się podporządkować surowym prawdom i przepisom, obowiązującym w sklepie, gospodzie, klubie lub muzeum, do których zdarzy się nam zaglądać. We własnym domu ten przeciętny człowiek może — jeśli mu się tak podoba — zjadać posiłek na podłodze. Sam praktykuje to często i przy biesiadach takich doznaje owego dziwnego, dziecięco radosnego, poetycznego uczucia, jakie napędza nas przy wiejskim „picnic’u“. Byłoby niemało kramu, gdybym zechciał zachowywać się w ten sposób w jakiejś modnej kawiarni. W domu można chodzić w szlafroku i pantoflach: jestem natomiast pewien, że nie pozwolono by na to w żadnym eleganckim lokalu w guście „Savoy“^{*)}, chociaż obojętnie nie próbowałem tego sprawdzać. Jeśli idziesz do restauracji, wusisz wybrać jedno z win, znajdujących się na karcie — skoro się uprzesz, możesz wlać w siebie wszystkie gatunki po kolei, w żadnym jednak razie nie wymigasz się od pokosztowania jakiegoś tam wina. Ale jeżeli masz dom z ogródkiem, możesz, gdy ci się to podoba, sprecparować sobie herbatę z róży jesiennej, lub wino z powoju. Dla zwykłego, ciężko pracującego człowieka dom nie jest jedynym nudnym miejscem w świecie, rojącym się od przygód. Jest to jedyne dzikie schronienie w świecie przykazań, praw i określonych zadań. Dom jest dlań jedynym miejscem, gdzie może, skoro tego zapragnie, zakryć sufit dywanem, a podłogę pokryć łupkiem, czy dachówką. Gdy człowiek przepędza całą noc na obijaniu się i włóczeniu od knajpy do knajpy, lub z kabaretu do kabaretu, mówi się, że pędzi on nieregularne życie. W rzeczywistości sprawa ma się inaczej: pędzi on wysoce regularne życie, ulegając nudnym, a często dokuczliwym i nieznośnym przepisom podobnych lokalów. Czasami w takiej knajpie, czy barze nie dadzą mu nawet usiąść — bo taki już tam panuje zwyczaj, — a w kabarecie, albo „music-hall’u“ nie pozwalają mu śpiewać, skoro mu przyjdzie ku temu ochota. Hotele dałoby się określić, jako przybytki, gdzie obowiązuje przymus eleganckiego stroju, a teatry, jako lokale, gdzie istnieje zakaz palenia. Tylko w domu można urządzać niefrasobliwe „picnic’i“.

Ponieważ każdy normalny mężczyzna pragnie kobiety i dzieci, z niej zrodzonych, każdy normalny mężczyzna pragnie własnego domu, gdzieby znalazły schronie żona i dzieci jego. Nie wystarcza mu dach nad głową i krzesła do siedzenia: chce on posiadać jasno określone, konkretne i widome królestwo, ogień, na którym może gotować takie jadlo, jakie mu przypada do smaku, drzwi, które mógłby otworzyć dla takich przyjaciół, jakich sobie życzy oglądać. Jest to przeciętne pragnienie mężczyzny — nie chcę twierdzić, że niema wyjątków. Mogą istnieć świeci, wyniesieni ponad ludzkie potrzeby i zachcenia, oraz filantropi, którzy do tych potrzeb nie dorośli.

(c. d. n.)

*) Jeden z najszykowniejszych lokalów Londynu.

BAJKI ZŁOTOGRODZKIE.

Z. REUTT - WITKOWSKA.

KTOŚ WALCZY Z NIKIM.

9



toś poszedł w świat w złotej szacie, gdyby na wesele.

Obrał też sobie zajęcie przyjemne i rozmaite: pielęgnował cenne kwiaty, sadził ozdobne drzewa i hodował motyle.

Nie myślcie tylko przypadkiem, że hodował jedwabniki: hodował motyle wszystkich barw tęczy i całkiem bezpożyteczne.

Pewnego południa zdrzemnął się. Przed nim, po gazonie, barwy jeszcze chryzolitowej, bo młodym, urozmaiconym srebrnawymi rabatami goździków nierozkwitłych, stały się czarnozielone bluszcze; w trawie tłum stokrotek podrzeźniał gwiazdy. Nad nim pochylały się różowe kasztany, płakał, ale chyba z radości, słoneczny, złoty deszcz. Motyle swoim ogromnie kolorowym tańcem dopomagały szczęściu tych wszystkich szczęśliwych. Słowem, drzemka naszego Ktosia mogła być miła.

Ale stała się rzecz brzydka.

Na przechadzkę wybrał się stary, zasłużony entomolog z uczniami swymi. Rozpoczęli wnet zajadle polowanie na śliczne owadki zmorzonego snem Ktosia... Zanim zdołał siebie dobudzić, cała jego hodowla była wzruszająco prawidłowo rozpięta na deszczulkach. Zawisnął w powietrzu słodkawy posmak chloroformu...

„Panie profesorze!... Ależ!... proszę... bardzo proszę... dla dobra nauki wszystko gotów jestem“... Ktoś był z natury uprzejmy; pozatem szczególnie, rzecz prosta, szanował ludzi starych i zasłużonych.

To też uczona zgraja nie słyszała, jak po jej odlocie — odlocie, mówią, pełnym trzepotania się tarłatanowych narzędzi motylej tortury. — Ktoś urągał Nauce, nieczulej na piękno, i garściami rwał trawę, wijąc się w skąpym cieniu kwitnących magnolij.

Ponieważ jednak było gorąco, bardzo gorąco, miłościwy sen ukoił dasy Ktosia.

Wtedy, zaprawdę, stała się rzecz jeszcze brzydsza.

Na przechadzkę wybrali się ludzie, piszący wiersze, dużo, dużo ładnych wierszy, to znaczy brać, czuła na piękno. Zobaczyli kwiaty, nie wiedząc, że Ktoś taki jest na świecie. Dalejże z najrzadszych okazów bukietki składać, girlandy wic.

Ktoś zerwał się na równe nogi.... Wobec Sztuki jednak uczył się bezbronnym; z dobrą miną przyjął nawet złe cygaro. Wycieczkowicze nie dowiedzieli się nigdy, jakimi słowy lżyć można Sztukę i ciężkie nieuctwo jej kapłanów.

Ktoś przeniósł się do czerwonego zacisza klonu, gdzie najmiłościwszy sen ponownie utulił jego rozpacz.

Ponieważ jednak było bardzo gorąco, srodze gorąco, urządzili zatem ludzie wielką procesję, śpiewając do wszystkich świętych o deszcz. Pan Bóg, wet

za wet, urządził ludziom wielką burzę z piorunami, gradem i wichrem.

Wtedy stała się rzecz najbrzydsza.

Wicher porozrywał dużo drzew, że zaś gradowa chmura zatrzymała się właśnie nad siedliskiem Ktosia, przeto, zwyczajem swoim, wysiekła liście po reszcie drzew; piorun uderzył w klon, pod którym Ktoś stał niewzruszony.

Kiedy pojawiła się potrójna, siedmiobarwna brama do nieba, kiedy ludzie radowali się z wysłuchanych modłów, Ktoś nie powiedział Panu Bogu nic, ale przeklął życie od czuba do pięt.

Spojrzał po sobie — obaczył, że szata jego jest szara i poczuł, że mu ciąży, jak olów. Zrozumiał wtedy, że dzieckiem być przestał.

Odtąd zmienił styl.

...Nie pielęgnował już cennych kwiatów, nie sadził ozdobnych drzew i nie hodował tęczowych motyli.

Siał zboże i karmił dzikie gołębie. Chciał być lepszym od siebie samego: oddawał zboże za darmo ludziom, których znienawidził; mówił do gołębi o Bogu, w Którego przestał wierzyć.

Pewnego wieczora powrócił między pola swoje, właśnie kwitnące. Powrócił od tych, między którymi błakał się, jak w dalekiej ukrainie, nic od nich nie chcąc.

Czemu stało mu się dnia tego nieszczęście nienazwane, gorsze, niżli wszystko?

Oto pochylił się ku zbożu swemu, bo było, jak-gdyby błękitne: poznał, że martwe. Rozeirzał się za gołębiami swymi. Zawisły nad nim wysoko, trwając we wstręcie. I nie przyszły do stawy z rak jego bezmiłosnych przez trzy noce i trzy dni; poczem jęły padać z niebios, jak białe kamienie.

Właśnie wszedł na chłodne niebo księżyc kragły, blade, obzierając pola, co stały w błękitie śmierci. Wszedł i popatrzył na ukamienowanego.

Ten szalał, bo mu się zdawało, że nieszczęście to nienazwane uczynił mu Nikt groźny; straszny, biały Nikt.

W dziwnym szaleństwie biedny mały Ktoś pokochał Nikogo, choć Ten wielki jest i przemożny. Mówił doń słowami tklivości, słowami coraz to świadomego bardziej, radośniejszego dziękczynienia za dołę i niedole; wtedy też po raz pierwszy zapłakał nad wszystkim, czyniąc się słodkim i cichym.

A kiedy spojrzał po sobie, obaczył, że szata jego zbielała i poczuł, że jest lekka, jak z piór.

Księżyc był już z powrotem wielki, dostały i zół ze siebie światło, niby patokę... niby szlak złotogrodzki!

Czas odejść pomiędzy dzieci, pomiędzy maki fiołkowe, które są na stepie.

Czas odnaleźć Boga.



WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ.

KIEDY JUŻ BĘDZIESZ DUŻY..

2

Wrażenie, jakie wywołał swemi słowami, przeszło jego oczekiwania, był nad wyraz zadowolony, udawał jednak, że niezupełnie dobrze dostrzega uczucia Gerstmana.

— Krcek przez dłuższy czas był wicekonsulem, zupełnie więc słusznie... Gerstman próbował się usprawiedliwić z wrażenia, jakie na nim wywarła wiadomość o tem małżeństwie.

— Znane są panu stosunki, jakie nas łączyły, prawie — że narzeczeni... Taka niespodziewana nowina... — Głos mu drżał i załamywał się.

Trzpis zbagatelizował całą sprawę.

— Od ośmiu lat! W kraju mało kto o tem wie. Pobrali się zagranicą!

— I że to właśnie — Krcek! — wykrztusił mimowoli Gerstman.

Trzpis nadstawił uszu, ale Gerstman już zapomniał nad sobą i zdusił w porę dalsze wynurzenia.

— Tak, tak! — mówił tamten z głupawym uśmiechem — „On revient toujours“... święta prawda. Entre nous soit dit, nie żyją ze sobą dobrze! Nawet można powiedzieć — zupełnie źle! I gdyby nie dziecko, rozeszliby się każde w swoją stronę...

Gerstman stłumił oddech.

— Dziecko?

— Cudownie, siedmioletnie chłopię — mówił Trzpis z fałszywym zachwytem.

— Ależ pan przybłdzi! O, nie trzeba się przejmować! Zwłaszcza, że, kto wie, może tam dla pana jeszcze coś zostało!? — szydził.

— Co takiego??

Gerstman nie rozumiał.

— Nooo! — mówił przeciągle Trzpis — pani Ela, cóż to za sympatyczna osóbką!

Szelmowski uśmiech przewinał mu się po twarzy.

— Małżeństwo faktycznie rozbite. Ona wciąż samotna, biedaczka... A to niewiasta z temperamentem! Ho! ho! ho! Panie, cóż to może być za metresa! — dokończył poufnie, uśmiechając się oblesnie.

Gerstman zerwał się z fotela. Był straszny, z wykrzywioną, purpurową, jak przy ataku apoplektycznym twarzą i dygocącymi rękami.

Przerażony Trzpis zrećnie jak mała czmychnął na korytarz. Po krótkiej chwili dał się słyszeć trzask zamykanych drzwi wejściowych. Gerstman dopiero teraz poczuł wagę browninga, niańczonego w ręce, trzymanej w kieszeni. — Trzeba było odrazu... Drżąc jak w febrze, opadł z powrotem na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Był jak człowiek napadnięty zniecka i ogłuszony od uderzenia pięścią między oczy. Czuł tylko wrzątek wzgardy, wypełniającej mu pierś i zaślaniającej wszystką możność myślenia. Świadomość wracał powoli, jak niepotrzebne, wzrastające stopniowo, dojmujące cierpienie. A wraz z odzyskaniem przejrzeniem rozrastał się w nim i poteźniał bunt. Mocne pięście zacisnął, jak do walki. Zemsty! — Srodze ty mi zapłacisz, Trzpisie! Czuł, że krew przypływa mu do twarzy; zarumienił, zawstydził się, gdy znów pomyślał o zniewadze, jaką jej wyrządzono. I zaraz przyszło wspomnienie o niej. Całe połacie przeszłości otwały się przed nim, jak widziane ze wzgórza pola. Brał w pierś wszystkie wspomnienia, ale jej już tam w nich nie było. Zrozumiał teraz po prostu, że życie jest bardzo trudne do przetrwania. Uwierzył w tę banalną prawdę, która teraz właśnie nabrzmiała dla niego żywą krwią. Odebrano mi tę

kobietę — pomyślał, tężając w bólu. — I znieważono! Uczucia rozpacz i nienawiści przewalały się w nim, jak przeorywane pokłady ziemi.

— Srodze ty mi zapłacisz, Trzpisie! srodze! i wy — wszyscy! Bolesna, jak krzywda, refleksja odsłania mu teraz do naga wszystką ruinę moralną, jaką przejrzał dokoła siebie. Ostrem spojrzeniem wstecz ogarnął krótką historję swego pobytu w kraju. Zrozumiał. Często trzeba dopiero cierpienia, żeby, — zobaczyć. — Teraz rozumiem, aż nadto dobrze rozumiem. Chaos i zamęt nad cuchnącem bajorem małych szachrajstw i wielkich podłości. Wielu to takich Trzpisów otarło się około niego? Wielu to wciągało do niego sprzedajne ręce?! Wielu to żeruje jeszcze nad pospólnem grzędawiskiem sprośnych egoizmów i rozuzdanych nienawiści?! Wielu to z nich czyha na chwilę, kiedy brutalnym gestem można obedrzeć człowieka z wielkości i przyrównać go do siebie, pomniejszyć! Gerstman fermentował pianą wściekłości i nienawiści. Gniew się w nim poczał i urósł mściwy, drapieżny, głodny pomsty. Więc się już nie ostać nie może przed zniewagą i złością ludzką? Wszystko chcecie zasargać i oplwać?! Dojrzała w nim wola zemsty. Okrutnem i nieprzeblaganem oburzeniem dosięgał Trzписа. Aż uwikłał się znów w sieci rozpacz i tęsknoty za nią. Zdumienie przerosło jego świadomość: jak to się stało — Elżbieta—żona Krcka?! Okrutny wyrzut cisnął jej, nieobecnej, w twarz! Że to właśnie — Krcek!! Spojrzał w tamtą stronę, jakby chcąc przedrzeć się wzrokiem przez drzwi, do wnętrza gabinetu konsula. Drzwi były odemknięte... Gerstman przetarł oczy. Wielkie tremo w kacie pokoju. — Nie do uwierzenia!

Nagle zadrżał od wewnętrzznego sarkastycznego śmiechu. — Ależ tak, ależ tak, głupcze! Trząśł nim szydery, jadowity, jak blekot, spazm wesołości. — Parblen! Wybrana zabawa! Wrzynał się wzrokiem w obraz odbity w lustrze, po tamtej stronie. — J. E. Pan konsul Krcek się bawi! Trzpis, wychodząc z pokoju konsula, zostawił niedomknięte drzwi; stojące przy ścianie, prostopadłej do nich, wielkie zwierciadło odbijało w sobie rozwartą szczelinę drzwi, ukazując w wązkim prostokacie pewną część wnętrza gabinetu: w wielkim fotelu empire siedział pan konsul Krcek, trzymając na kolanach czarnowłosą chłopczykę; wypieszczona, biała ręka konsula przesuwiała się lubieżnie po podgardlu dziewczyny, aż znikła pod wycięciem sukni na piersi; wtedy konsul pochylił się nad swą stenotypistką, aż do jej odrzuconej w tył głowy, i dziewczyna podała mu usta. Na biurku leżała rozrzucona korespondencja.

— „Entre nous soit dit — nie żyją ze sobą dobrze“ — przypomniał sobie Gerstman i syknął z oburzenia.

Wystraszony służący ocknął się ze swej drzemki i poszedł niewolniczo za wzrokiem Gerstmana. Starowina w pierwszej chwili stracił kontenans, jego pergaminiowa twarz stała się szara, jak popiół, z przerażenia, ale wkrótce odzyskawszy świadomość swej roli, uśmiechnął się z goryczą i miamlać wbezębnych ustach jakieś wyrazy, przesunął się, jak cień, bezszelstnie, w tamtą stronę. Wywarł dyplomatycznie, pocichutku, na paluszkach, na swoje dawne miejsce.

Gerstman czuł się upokorzony, wyśmiany, zgnębiony. Rzeczy widziane przekraczały zdolność rozumienia, uświadomił sobie z trudem, że widocznie od

chwili swego powrotu, przez całe trzy miesiące drepłtał dokoła przeróżnych zdarzeń i dotykał się niezwykłych zjawisk, nie wnikając jednak dostatecznie w istotę tego, co się wokół niego działo. Dokonały się i dokonują się wciąż w zbiorowisku, z którego wyrósł, jakieś przemiany, wała się dawne rusztowania (niewątpliwie też gdzieś, niewidoczne jeszcze dla krótkowidzów i oszołomionych tętnem pędzącego życia ludzi, wyrastają nowe fundamenty i przyciesi innego porządku egzystencji—rozumował), zbliża się przełom zwiastowany ponurą klęską, ale jemu, Gerstmanowi, wymyka się z przed oczu spieniony wart terażniejszości, a ścigły potok zdarzeń kłamie busoli jego własnego sumienia. Czuł się osaczony przez życie, osaczony i zdezorientowany w nowym układzie stosunków i pojęć, zgubiony w chaosie dokonujących się przemian, które ujrzał i które wypatrywał teraz ze zdwojoną ostrożnością — właśnie, jak człowiek skaleczony żądłem cierpienia — lecz których znaczenia i wartości jeszcze ocenić nie mógł. Ale niczem mu były te doznania osobiste; dopiero na myśl, że w tę całą sprawę Krceka i Trzypisa uwikłana jest — ona, na tę myśl wszystek jego ból przeradzał się w męczarnię.

— Jest to nielada łotr, ów Krcek. Oplół się dokoła niej jak polip i pociągnął ją za sobą w lepszycie i grzęzawisko życia, na zatracenie.

— Okropność! — truchlał ze zgrozy na myśl, jakie to musi być teraz jej życie.

— Dlaczego została żoną tego człowieka? Dlaczego? Nie wiedział, jak ona daje sobie radę z tem swoim życiem, nie wiedział, jak ona to wszystko znosi? — Czyżby dziecko? Nie rozumiał, nie rozumiał. Naszły go, podstępnie i chytrze, zwatpienia. Uśmiechnął się z bolesną pobłażliwością. — Kto wie?.. Może stała się podobna mężowi? Może stała się kukłą bezduszną, lalką strojną i piękną? Odegnął od siebie te myśli. Nieprawda, niemożliwe! Ogarniało go tępe znużenie. Postanowił nie czekać dłużej. Nie chce mieć z tym Krcekiem do czynienia. Pójdzie. Zamierzał wstać, gdy właśnie z gabinetu konsula zaterkotał prędko dzwonek. Papierowy służący pośpieszył

w tamtą stronę. Gerstman, idąc za nim, ślaniał się niemal.

Służący otwierał drzwi od gabinetu konsula.

Krcek przyjął go z oznakami nieukrywanego zadowolenia i najwyższego szacunku. Z wyszukana grzecznością przeproszał go, że mu pozwolił tak długo czekać.

— Pilna korespondencja urzędowa! Raport do ministra! Oh, mon Dieu, jest zapracowany!

Krzętał się zwinnie po pokoju, podsuwając Gerstmanowi fotel i stolik z przyborami do palania. Gerstman przypatrywał mu się pilnie. Mały, różowy, pulchniutki, z wylupiatymi oczyma, z przystrzyżonemi do skóry czarnemi włosami, kręcący z zadowoleniem okrągłą główką — sprawiał wrażenie usłużnego, czujnego na każdy gest, piccola. Bez przerwy manipulował wykałaczką w zębach, uśmiechając się przytem jowialnie lub wyczyniając przesadnie naiwne i zdumione miny. Wreszcie rozparł się wygodnie na fotelu, wysłuchując z uwagą Gerstmana.

W kwestji organizacji działu firmowego na wystawie międzynarodowej? Ależ oczywiście, obiecywał solennie i przyrzekł wyteżoną współpracę. Wkrótce zorganizuje zebranie firm zainteresowanych z przedstawicielami tutejszych władz, co ułatwi wzajemne porozumienie się, etc. etc. Notował długo i skrętnie wszystkie przedstawione mu postulaty, udzielał z przesadną usłużnością wyczerpujących informacji i przyjacielskich wskazówek. Audjencja miała się ku końcowi. Gerstman wstawał do wyjścia.

— O, nie! — zaprotestował Krcek — teraz, skoro ukończyliśmy sprawy urzędowe, zatrzymuję pana, jako swego dawnego znajomego.

Gerstman próbował oponować, ale Krcek nakazał mu komicznym, niby monarszym, gestem ciszę. Potem sięgnął po stojącą na biurku fotografię i z tajemniczą, pompatyczną miną podał ją zdumionemu Gerstmanowi. Z fotografii uśmiechała się szczupła buzia siedmioletniego chłopca, o dużych wąskich oczach i jasnych spadających na czoło włosach, podciętych i uczesanych na sposób paziowski.

(c. d. n.)

PAOLO MONTEGAZZA.

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE.

(Kartka z higieny miłości.)

Autoryzowany przekład z włoskiego Tadeusza Jakubowicza.

I.

NA MORZU.

Rankiem, dnia 9 czerwca roku 185..., punktualnie o godzinie jedenastej, wsiałem w zatoce Southampton Water na mały stateczek, mający zawieźć mnie na pokład wielkiego parowca pocztowego, T h a m e s, który, podniósłszy kotwice, oczekiwał z niecierpliwością na pasażerów do Brazylii, oraz Rio de la Plata.

Na owym stateczku taki panował tłok, iż nie mogłem się ruszyć, krewni zaś i przyjaciele, skupiwszy się wokół podróżnych, ściskali ich za ręce, całując i płacząc wraz z nimi. Ileż namiętności, ile nadziei i boleści, słoczonych w jednym miejscu! A namiętności te, nadzieje i bóle wybuchały niekrepowane wśród snujących się tam i sam marynarzy, niezupełnie jeszcze trzeźwych po nocnej pijatyce, a słowa pożegnania i westchnienia ginęły w łoskocie kufrów

i skrzyń, w ogłuszającym huku, z jakim parowiec wyrzucał niewzruszenie kłęby dymu czarno-białego i zaczynał, z matematyczną dokładnością, poruszać swe śruby, niewzruszony w obliczu zmieszanego zgłębku uczuć ludzkich. Wśród tego rozgwaru i niepokoju wyszukałem sobie miejsce pomiędzy zwojami łańcuchów kotwicznych, a piramidą kufrów i tam, odwróciwszy się plecami ku przodowi statku, żegnałem Europę, gdzie zostawiałem tyle skarbów uczucia, żegnałem dzwonicę św. Michała, ostatni obraz ziemi angielskiej, opuszczonej na wiele lat.

Człowiek, zmuszony żyć z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z minuty na minutę, niesiony na fali, co nie zna spoczynku, staje z jakąś okrutną rozkoszą w owych rzadkich chwilach, kiedy zrywa się niespodzianie nić, ciągnąca go wzdłuż orbity życiowej, — lubuje się w owym mgnieniu przelotnem, gdy nagła przerwa w najdroższych przyzwyczajeniach, gdy

gwałtowna zmiana krajów, ludzi, rzeczy, pozostawia go samemu sobie, pośród wielkiej próżni, — zda się, iż rodzi się poraz wtóry.

W takich właśnie chwilach człowiek spogląda, przypatruje się z chciwą zazdrością wszystkiemu, co ma opuścić i ostatni wizerunek niknącego otoczenia umosi w swej duszy na wieczną pamiątkę.

Coś podobnego i ja przeżywałem owego ranka, żegnając z niezmierzoną tkliwością kraj mgieł i węgla, pięknych łąk szmaragdowych i niezliczonych trzód zadymionych baranów; domostw niewielkich, a szarych, i wyniosłych kominów fabrycznych. Żegnałem ów kraj, który muzyka, ledwo dotknawszy go stopą, nazawsze porzuciła, zatykając sobie uszy, jak gdyby nie chciała słuchać nieustannego hałasu maszyn i nieharmonijnej mowy ludzi. Żegnałem kraj, zamieszkały przez rasę szorstką, lecz niezmordowaną i przemysłną, zamiłowaną w rzeczach trudnych i nowych, ziemię, gdzie każdy człowiek jest indywidualnością, każda myśl — zdobyczą.

Tymczasem nasz lilipuci stateczek dopłynął do *Thamesu* i szczepił się z nim, a ów olbrzym niezmierzony, rzekłbyś, schylił się, by go przyjąć w swe ramiona. Należało przeprowadzić na pokład olbrzyma całą zawartość żywą i martwą owego liliputa. Była to scena piekielna. Gorsza jeszcze — potem, gdy przyjaciele i krewni mieli opuścić *Thames*, pozostawiając swych najdroższych samych. Jakaż rozdzierająca chwila w życiu ludzkim! Ileż boleści zawrzeć się może w sercu człowieczem!

Stewarci okrętowi i urzędnicy poprosili odprowadzających, by zechcieli zejść, marynarze zaś, mniej uprzejmi, popychali ich ku schodom. Lecz oni, ustępując zda się, cofali się natychmiast o parę kroków i ginęli w labiryncie kufrow i lin, by raz jeszcze ponowić uścisk, tym razem dłuższy i gorętszy, a na kruchych schodkach *Thamesu* łańcuch ramion i ciał, ściskających się konwulsyjnie, rozpaczliwie, łączył się i rozłączał wśród brutalnych szturchań marynarzy. Suchy i nieubłagany rozległ się dzwon na odjazd; *Thames*, zniecierpliwiony tą niesubordynacją, poruszył się z miejsca, nastąpiła gorzka rozłaka, a na obu parowcach, tak różnych wielkością, a tak bliskich, tłum ramion szukał się jeszcze, pozdrawiając i śląc, pośród płaczu i krzyków, tysiące pożegnań, tysiące westchnień, pragnień.

Stateczek towarzyszył nam jeszcze, chcąc mierzyć się z *Thamesem*, zdawało się, iż ów płacz i ruchy ramion, owe pozdrowienia, pełne tkliwości, podwoiły jego szybkość, tak chyżo mknął mętym i spienionym szlakiem, jaki parowiec nasz zostawiał pośród fal morza angielskiego. I jak długo mógł każdy rozpoznać twarz swych bliskich pośród tej masy ludzkiej, jak długo potem mogło jeszcze serce odczuć, czyje serce drży, a ręka powiewa chustką, — liliput towarzyszył olbrzymowi. poczem, wykrećwszy się, popłynął do brzegu. Wówczas po raz ostatni rozległ się daleki krzyk, rozdzierający akord łań i rozpaczy, i zginął w huk cyklopijczy maszyny, zdobywającej Ocean ogromem swych kół.

Spoglądałem, rozmyślając melancholijnie. Towarzysze mej podróży rozdzielili się zaraz na duże grupy, niby posłuszni jakiemuś milczącemu rozkazowi. Większość stała na rufie, reszta — na przodzie statku.

Pierwsi, stłoczeni obok steru na ostatnim skrawku okrętu, nie mogli oderwać się od ziemi, którą wzrok jeszcze ogarnął. Aż do ostatka pragnęli oni wchłonąć w siebie głosy i zapachy ojczyzny, gdzie tyle pozostawili z swej istoty. Byli to nieszczęśliwi, których

burza namiętności porywała z miejsca urodzenia. Tam, dokąd spoglądali, był cmentarz matki i kołyska ich własnego dziecięcia, tam były gałęzie dębu, pod którym któregoś wieczora rozlegał się ich szept miłosny... Ludzie ci płakali, lub zaciskali konwulsyjnie zesztyniałe niemal ręce.

Na przodzie natomiast byli szczęśliwcy. Z uśmiechem na ustach, pełni radości i nadziei, spoglądali ku Ameryce, do której zbliżał ich każdy obrót śruby; spoglądali ku swemu gniazdu, widzieli już ojczyznę i słyszeli okrzyk marynarzy brazylijskich lub z *del Plata*, spostrzegali niemal, jak ze schodów dobrze znanego sobie domu zbiegał ktoś na ich spotkanie...

Inni z pośród owych szczęśliwych nie mieli ojczyzny lub też wyrzekli się jej i rzucali się zuchwale w świat nowy, w poszukiwaniu złota, sławy i przygód. Odwracali się tyłem od nędzy, nudy i zawodów; dla nich jutrzienka nadziei w lazur i jasność oblekała bezmiar oceanu, roztaczającego się wokół.

Kilka metrów drzewa i żelaza dzieliło owych zropanzonych od tych radujących się, w istocie zaś — przepaść bezkresna i bezdenna, cała historia serca ludzkiego...

A ja, com potrafił zawsze żelazną ręką trzymać swe serce, każąc mu milczeć lub pozwalając wzruszać się i płonąć, spoglądałem i rozmyślałem.

Pośród tych, co stali na przodzie, wśród trzody pospolitej i bezmyślnej, będącej zawsze tam, gdzie gromadzi się tłum, wyłaniała się postać piękna i wyniosła, budziła uwagę i podziw, tak że chciało się zaraz zawołać: *O to człowiek!*

Człowiek ten, choć miał krucze włosy i błysk ognia w źrenicach, był Anglikiem. Świadczył o tem nos cienki, a różowy, świadczyły przedewszystkiem usta o wyrazie szorstkim, lecz śmiałym, jakie mają tylko Anglicy; usta, przyzwyczajone do rozkazywania sobie i innym, wsparte, zda się, na podbródku żelaznym, jak gdyby pragnęły zapewnić sobie mocny punkt oparcia dla tem zuchwalszych lotów w świecie woli. W wargach Anglików tkwi cały ich upór, całe nieokielznanie woli, niewyczerpany i niezmordowany czyn.

Takie usta miał ów piękny, pełen życia młodzian. Czystsza radość nie mogła malować się na bardziej szlachetnem obliczu. Radość, wydająca się niewysłowioną nadzieją, musiała być niezmiernie wielka, bowiem człowiek ów, który nie był z pewnością egoistą, nie ukrywał bynajmniej swej szczęśliwości pośród scen bólu i rozpacz, jakie widział przed chwilą.

Wsparty lekko ramieniem o jedną z lin okrętowej rei, kołysał się łagodnie w takt statku, lecz widać było, iż całą swą istotą jest gdzieindziej, uniesiony daleko radością, dla której niema nazwy. Oczy miał duże i jakoś rozszerzone bezmiernie, a twarz i pierś falowały pod naciskiem potężnym wewnętrznej ekspansji. Człowiek ten pożerał, zda się, Ocean dostrzegając gdzieś tam obraz swego raj, i oddychał, pod wpływem radości, długo i głęboko, wchłaniając słony aromat powietrza morskiego. Z pewnością nie doznawał już dawno tak wielkiej i tego rodzaju rozkoszy.

Gdy nadeszła pora obiadowa, nie słyszałem, zajęty urządzaniem się w kajucie, wezwania dzwonu i przybyłem do stołu — ostatni. Niezadowolony, że nie mogłem wybrać sobie sąsiedztwa, musiałem zająć jedyne miejsce, jakie pozostało. I rzecz dziwna! Miejsce to było nie na końcu stołu, lecz pośrodku, a dwaj pasażerowie, odepchnięci nagłą antypatią, oddzielili się niem od siebie, nie chcąc sąsiedować.

(c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

29

I pasterz z Gévandau i Katarzyna de La Rochelle mieli teraz wolne pole działalności — lecz nie umieli obracać się na niem. Katarzyna potrafiła za to, dostawszy się (może umyślnie) do niewoli burgundzkiej, opowiadać o Joannie rzeczy bezecne, potwierdzając utarte tam przekonanie o jej zмовie z diabłem. W dowód uznania za to, puszczo ją wolno.

Natomiast Piërronne, pojmana również, zeznała, iż objawienia niebiańskie każały jej pomagać Dziewicy, która prawdziwie posłana jest od Boga na ocalenie Francji. Nie chcąc ni słowa z tego odwołać, zginęła nieustraszenie na stosie 3-go września 1430 r.

Czy powiedziano o tem kiedykolwiek Joannie?... Czy miała możność pozdrawiać w modłach swoich piękną duszę tej jedynej istoty, co za jej cześć oddała życie?...

Przez pierwsze miesiące niewoli absorbuje ją wyłącznie żarliwa troska o los Compiègne. Kipi z niecierpliwości, by znaleźć się tam znowu, zorganizować odsiecz — nie wyobraża sobie, jak obleżeni bez niej dadzą rady. „Uciekać! — to dla niej gest najelementarniejszy, najbardziej życiowy, najbardziej „joanniczny“ — krzyk instynktu i krwi.“*)

I oto pewnego dnia, z końcem lipca, wymyka się ze swej komnaty — i idzie śmiało przed siebie — dopiero tuż przy bramie poznał ją i zatrzymał ktoś ze straży. Przerazony tą próbą ucieczki, książę Ligny przewozi Dziewicę z początkiem sierpnia do Beauvoir, posiadłości swej, dalej na zachód położonej. Tu przebywała ona około pięciu tygodni, pilniej już strzeżona i oddzielona zupełnie od towarzyszy niedoli, w wieży mocno obronnego zamku. Jedyną ulgą w jej samotni była życzliwość żony i sędziwej ciotki Jana de Luxembourg; obie te damy, sprzyjające w dużej sprawie francuskiej, ujęte w dodatku osobistym wdziękiem Joanny, jej inteligencją, szczerością i słodyczą — stały się serdecznymi jej przyjaciółkami. Spędzała w ich towarzystwie długie godziny, dzięki nim mogła używać trochę ruchu na powietrzu. Nawet one jednak nie zdołały ubłagać, aby przyjęła szaty niewieście, które jej ofiarowywały. Mimo tego miłego sojuszu, znalezionej jakby cudem we wrogim obozie, dusza Joanny zasępiła się i burzy coraz bardziej.

Compiègne! Compiègne! Kto sam nie doświadczył uczucia braterstwa broni, ten nie pojmie, jaką czarowną moc miało nad spętaną rycerką to jedno słowo. Znaczyło ono wówczas dla niej tyle niemal, co „Francja“ — bo było na ową chwilę nietylko strategicznym kluczem do niej, lecz i główną twierdzą jej ducha. Obrona królewskiej sprawy, wbrew samemu królowi, wiąże ją z tem miastem wspólnością niezapomnianą, głęboką, serdeczną, jak uczucie rodzinne. O niem też myśli dziewczyna więcej, niż o własnej niedoli — pogłoski o jego klęsce doprowadzają ją do szału...

Aby iść w pomoc „miłym przyjaciółom z Compiègne“, waży się na krok rozpaczliwy, przezwyciężając nietylko instynkt samozachowawczy, ale i drugą, twardszą jeszcze, mistyczną zaporę: rozkaz swoich „Głosów“. Przez kilka dni domagała się od nich gwałtownie, a daremnie, zezwolenia na swój plan: zamierzała po jakimś sznurze spuścić się z okna swej wieży, z 60 stóp wysokości.

— Nie skakaj! — tłómaczyła jej święta Katarzyna — Bóg wspomóże i ciebie i onych z Compiègne“.

— Jeżeli Bóg zrałuje Compiègne, to jakoż mi tam nie być naonczas?! — wołała namiętnie Joanna.

— Przez ochyby, trza ci zgodzić się z dola — nie będziesz wolna, póki nie obaczysz króla Angielskich.

— Zaprawdę, nie pragnę go widzieć! Wolej mi zamrzeć, niżli się dostać w ich rece!

„Po raz pierwszy nie wierzyła tajemnym głosem swoim — mówi Libelt — bo jej nie objawiały tego, czego zboleła serce było pełne: iść, zwyciężyć i polec“.

W końcu nieprzystojne umizgi jednego z gości zamkowych, młodego rycerza de Maćy, przeważały szalę: był to pierwszy mężczyzna, który się ośmielił wyciągnąć zuchwale rękę po jej biel dziewczęcą. W szalonym lęku o nią, pchnięta odruchem przemożnym, rzuca się z wieży.

Sznur się zerwał — nieprzytomną podnosi straż — i dziwią się wszyscy, że żyje jeszcze... Ogłuszona tym mocnym wstrząsem duszy i ciała, przez 3 dni nic nie jadła; potem jednak szybko wraca do sił. Po spowiedzi, święte zapewniły ją, że odzyska łaskę bożą i przebaczenie za swe nieposłuszeństwo — przyrzekły też stanowczo ocalenie Compiègne. Dusze branki ogarnia teraz wielki spokój, jaki następuje po klęskach, po wybuchach *).

A od króla nie zgłaszał się nikt...

Jan de Luxembourg, nie czując się na siłach do upilnowania tak niespokojnego więźnia, oddał go, z końcem września, pod opiekę księcia Filipa w Arras. Sprawę wykupu dla Anglii wziął w swe rece, już od połowy lipca, mocny a wytrawny wróg, Piotr Cauchon, biskup Beauvais, b. rektor Sorbony, uczony i niebylejaki dyplomata w służbie najeźdźcy. Nie zapominał on Joannie, że go własne „owieczki“ wygnały z biskupiej stolicy, na jej pierwsze wezwanie... To też chętnie dał się użyć do misternej kombinacji, która miała na celu zgubić dziewczynę w taki sposób, by zniesławić równocześnie nietylko ją sama, lecz i Karola VII. W tym celu potrzebny był proces kościelny, i przeprowadzony prawnie dowód, iż oskarżona jest heretyczką i czarownicą.

Podjąwszy się tego chlubnego zadania, Cauchon dowiódł swych talentów na wstępie listem do księcia Ligny, żądając wydania władzom duchownym „niewiasty, pospolicie zwanej Joanną-Dziewicą“, a zarazem grożąc w imieniu króla Anglii i ofiarowując olbrzymi okup. Jeździł nawet w tej sprawie osobiście, ponawiając nalegania. A od króla Karola nie zgłaszał się nikt...

De Luxembourg opierał się długo, zapewne pod wpływem błagań żony i ciotki. Świątobliwa ta staruszka umarła w połowie listopada, na łożu śmierci polecając jeszcze siostrzeńcowi-spadkobiercy, by nie wydawał Dziewicy na zgubę. Lecz prośby zmarłych nie mają tej mocy, co brzęk złota... Już 20 września de Luxembourg zgarnął chciwie 10.000 franków (okup płacony zwykle za królów) — a Joannę zabrali Anglicy.

Haniebnego tego targu dobito w Crottoy, nad oceanem. Tu pokazał się sprzedanej Archaniol Michał, z pociechą niebieską i z nakazem wytrwania, choć los jej pogarszał się ciągle — łatwiej było teraz znosić wszystko, bo ukochane Compiègne obroniło się szcze-

*) J. Delteil.

*) J. Delteil.

śliwie, już 24 października zwolnione od obleżenia. To niepowodzenie łamie śmiało zamysły Filipa, udaremnia zamierzoną koronację Henryka VI w Reims, wywołuje nawet interwencje zagraniczne na rzecz Karola. Joanna musiała o tem słyszeć i codzień pewno dziękowała Bogu.

Postanowiono prowadzić proces w Rouen, jako w centrum potęgi angielskiej: Paryż niedość zdawał się bezpieczny. Rouen, przed 11-tu zaledwie laty stawiające fanatyczny wprost opór przemocy — obecnie zmieniło zupełnie swój charakter. Ci z mieszczan, co nie zginęli w owym obleżeniu, powyjeżdżali przeważnie; miasto, zalane elementem napływowym, handlarско-żołnierskim, stało się siedliskiem kosmopolitycznych szumowin i główną ostoją najazdu.

Wśród takich ludzi osadzono Joannę d'Arc z początkiem zimy, w ciemnej komórce starego zamczyska. Pod nieodstępą strażą angielskich żołdaków, nęgrawającą się z niej bezkarnie, w kajdanach na rękach i nogach, w nocy nawet przykuta do łoża — zagrożona zamknięciem w potwornej żelaznej klatce — nie upadła jednak na duchu. „Tragiczna rozterka tej mocnej duszy, rzuconej na łup unicestwienia! Walka tej szpady w pochwie przeciw rdzy powolnej! Jej ciało, ciało stworzone do skoku i do konnych harców, buntuje się przeciw bezruchowi...”

Jan Luxemburg, odwiedzając więzienie w towarzystwie kilku panów, odezwał się do Dziewicy, że ją napowrót wykupi, jeśli obieca nie walczyć już przeciw Burgundji i Anglii.

— W imię Boga! — zawołała, oburzona — sztydziecie ze mnie! Nie tajno mi, iż nie macie potemu ni mocy, ni chęci. Wiem-ci ja, Angelczyki zgładzą mnie, tusząc, iż po śmierci mojej odzierzą królestwo Francji. Aliści, chociażby tych przekleństw *) o sto tysięcy było więcej, niżli ninie — zaprawdę, nie dostaną go!

Na te słowa, krewki lord Stafford dobył szabli i już zamierzył się na bezbronną dziewczynę — gdy hr. Warwick chwycił go za ramię.

Joanna nie wierzyła jeszcze, mimo wszystko, że zginie — miała upartą nadzieję ocalenia. Krzepiły ją stale zjawy anielskie, obiecując niejasno jakiś triumf, nakazując „śmiałość i wesele” — a wesela owego, ni triumfu, nie szukała nigdy marzeniem w losach niewinnej ofiary. Godziła w sobie przedziwnie naturę świętej i rycerza — nie była to jednak natura męczennicy! Stworzona do wielkich wysiłków i niebezpieczeństw, nie znajdowała żadnego uroku w biernym cierpieniu.

Miała prawo oczekiwać ratunku za wszelką cenę — ona, najpierwszy z obrońców niewyswobodzonej jeszcze ojczyzny, zasłużona szczególnie wobec królewskiego domu — ona, którą uwielbiało i wojsko i lud, sławiona przez dostojników kościoła.

Lecz od Karola nie zjawił się nikt... Milczał wierny jemu kler — wojsko za słabe było w owej porze na zdobywanie Rouen — a lud płakać tylko umiał...

(c. d. n.)

*) Używane wówczas przezwisko: „Goddan”.

JANINA MASZEWSKA - KNAPPE.

TAJNIKI ŚWIATA ZWIERZĘCEGO.

7

„Gdyby życie cielesne nie poddawało każdego z członków konieczności śmierci, wówczas istota zbiorowa, złożona z pierwiastków wiecznych — nie mogłaby się odnawiać i postęp pozostałby dla niej wzbronionym. Nakoniec, gdyby osobnik doczesny nie podlegał konieczności otrzymywania i uwieczniania życia przez odradzanie się, wówczas prawa dziedziczności nie dałyby się wcale do niego zastosować, i źródło ciągłości dziejowej w ciele społecznym byłoby wyschło; nawet, gdyby jeden organizm społeczny dawał życie drugiemu, to i wówczas nie miałby do przekazania mu żadnych tradycji. Łańcuch kolejnych stanów ludzkości byłby tu wiecznie przerywanym. Tak więc, biologia przygotowuje socjologię, życie fizjologiczne kładzie, jakby dzięki umyślnemu przeznaczeniu, podwaliny życia duchowego. Podobnie też, bardziej konkretna nauka gatunków, czyli zoologia, pokazuje nam w zarodku życie społeczne wśród istot, niższych od człowieka. Naprzód widzimy, iż u najwyższych z nich energia układów odżywczych (wymagająca podboju zdobyczy żywej) pociąga za sobą odpowiedni rozwój zdolności umysłowych, (T. I. str. 597) co wytwarza wzmagającą władzę odróżniania warunków otoczenia i przystosowywania się do ich wymagań. Przez to istota żyjąca, samotna dotąd, wchodzi w stałe stosunki ze wszystkiem tem, co ją otacza. (T. II. str. 598). Ale, wznosząc się tutaj ponad poziom życia roślinnego, wstępuje ona nieodzownie — drogą wymiany ruchów i uczuć — w obcowanie z podobnymi sobie istotami, nadewszystko zaś czyni to wtedy, gdy, wymknąwszy się uciskowi potrzeb, żyje istnie-

niem mniej interesowanem, a stąd mniej samolubnem. Gdyż wyrzekanie się bezwzględnej indywidualności, staje się nadewszystko niezbędnem tak w sprawie rozmnażania się, a zatem, podtrzymywania gatunku, jak i następnie, tam, gdzie następuje znaczne dla różnych celów rozszerzanie rodziny w życie gromadne — życie społeczne”.

Tyle Arystoteles. Co do ostatniego, t. j. rozwoju indywidualnego, często podkreśla to i Darwin, „że żadna istota nie rozwija w sobie jakiegich cech nowej, gdy ta nie jest pożyteczna dla gatunku”.

Życie gromadne, życie stadami spotyka się u wszystkich gatunków zwierząt w stanie dzikim, a nawet przechowuje się i u niektórych domowych, jak bydła rogatego i owiec. Wiele zwierząt łączy się w stada dla określonego celu, przeważnie dla wspólnych rozboi, jak wilki, dla łatwiejszego zdobywania sobie pożywienia. Ptaki, przelotne, łączą się dla bezpieczeństwa wspólnych podróży, które odbywają gromadnie. Dobiegłszy do celu, rozłączają się, aby znów się połączyć w chwili nowego odlotu. Ptasi wędrowki pochodzą z różnych przyczyn, lecz odnoszą się wszystkie do tej samej kategorii — przyczyną ich jest głód — lub zimno. Pojęcie pewne bezpieczeństwa długiej podróży, w której najmniejsze zabłądzenie nieraz powoduje śmierć osobnika, jest zdecydowaną przyczyną, dla której ptaki przelotne łączą się ze sobą — najpierw z jednej miejscowości, następnie całej okolicy, w końcu zaś z całego ładu, nad brzegiem morza, nad którym muszą przelecieć. Niepewne pojęcie osobnika wspiera się na świadomości całego wielkiego stada, i szanse pomyłek zmniejszają

się, gdyż, nieświadomość młodych wspierana jest przez doświadczenie starszych. Łączenie się ptaków przelotnych na pewien tylko okres ich życia tworzy t. zw. „społeczeństwa czasowe“, które spotyka się i wśród innych grup zwierzęcych. I nie zawsze są one wywoływane jakimiś podstawowo ważnymi dla ich życia lub jego obrony przyczynami. Przeważnym czynnikiem tych łączy jest, jak już zaznaczono wyżej — wzajemne ciążenie, które spowodowuje grupowanie się osobników. Jest bowiem zdecydowana rozkosz, dla wszelkiej istoty żyjącej mieć dookoła siebie istoty podobne. To nam tłumaczy nawet fakt, dlaczego niektóre ze stowarzyszeń zwierzęcych, tak trwałych, jak i czasowych, mogły powstać nie tylko wśród zwierząt tego samego gatunku, ale i pokrewnych. Im bardziej zaś zwierzę odległe jest od drugiego na drabinie zoologicznej, tem silniejsze budzą się w niem na widok tego drugiego — niechęć, wstręt i lęk. Małpa n. p. okazuje zabawne, dzikie wprost przerażenie na widok kameleona.

Obcowanie gromadne ze sobą, wspólne zabiegi o pożywienie, wspólne zabawy i trwogi przed napaścią wroga — wytwarzają w gromadach zwierzęcych silne łączniki duchowe, ogromną solidarność, a nawet miłość. A udubon opowiada wzruszające przykłady przywiązania wzajemnego gromad: kiedy zabito kilka sztuk papug w pewnym stadzie, pozostałe porwały się z miejsc i latając z krzykiem rozdzierającym dookoła trupów swych towarzyszy, otoczyły je i nie chciały opuścić. Padły ofiarą własnej tklivosti, gdyż podróżnicy, wyzyskując ich uczucia w ten sposób, zabijają, a raczej wymordowują je setkami. Niema bowiem okrutniejszego stworzenia nad człowieka!

Społeczeństwa nawet czasowe są zawsze tak zorganizowane, że mają władzę starszych, której podlegają, i strażę, które pilnują od wrogów. Istnieje w takich gromadach ogromne porozumienie w chwili pustoszenia n. p. łąk, papugi, zazwyczaj nieznoszące wrzaskliwe, przyciszają się i grabież odbywa się w bezwzględnej ciszy. Zwłaszcza ptaki brodzące, jak i zwierzęta drapieżne, są mistrzami w sztuce zachowywania ostrożności. Solidarność ich bywa również nadwycieczna. Wspólnego wroga pokonywa często oblawa z kilku złączonych na taką wyprawę gatunków. Brehm opowiada o ciekawych wypadkach, gdy sęp, kruk, lub orzeł padał pod dziobami złączonych sił innych ptaków. Życie gromadne, powiększając bezpieczeństwo osobników, wytwarza też coraz większą

wzajemną ufność. Zwierzęta niesłuchanie polegają w gromadach na swych towarzyszach, co znów rozwija i podnosi poczucie obowiązkowości, stwarzając ogromną odpowiedzialność i tklivłość wśród silniejszych w gromadzie — do słabszych. Dlatego to silni samcy u ssących, żyjących, lub okresowo łączących się w gromady, tak czuwają nad samicami i młodem, pomimo, że instynkt ojcowski tam nie istnieje, i oni nawet nie wiedzą, które to młode są ich osobistymi dziećmi. Rozwinięte tam jest obywatelskie poczucie czuwania nad gromadą, na której czele stanęli. Obserwuje się też w takich gromadach silnie rozbudzone ambicje — pociągające za sobą krwawe, zjadłe walki, kończące się śmiercią niektórych osobników, lub pewnym rozłamem w gromadzie. Gdy bowiem siły wodzów są równoważne i walka nie kończy się rozstrzygająco — pewna część młodych z gromady oraz samiec odłącza się za sympatyczniejszym sobie wodzem i zaczynają żyć oddzielnie na swoją rękę. Zwierzęta w zupełności uznają nad sobą władzę swoich wodzów i ślepo jej ulegają. Kolonisci australijscy, odbywający wędrówki ze swemi stadami pasących się wołów, stwierdzają, że, w koczowniczym tem życiu, nie oglądając się na człowieka, stado obiera sobie samo, a raczej, na jego czele stają „leaderzy“, którzy je prowadzą. I rola człowieka wtedy maleje. Ustępuje on nawet chętnie ze swojej władzy, gdyż dla stada jest to o wiele korzystniejsze. Rdzenni przewodnicy najlepiej wiedzą, jak je utrzymać w karności, jak prowadzić za pożywieniem i jak je strzec. Gdy współtowarzysze oddają się spoczynkowi lub przeżuwaniu, przewodnik ma się na baczności i staje na czatach. Gdy zmęczony — położy się, natychmiast, niewołany, inny osobnik zajmuje jego miejsce. (Brehm, t. II str. 483.) Podczas wyprawy do bieguna północnego, załoga „Germanji“ była świadkiem następującej sceny. Gdy podróżnicy zatrzymali się dla wypoczynku, gromadka, około 30 reniferów, przysłała również odpocząć na lodowej równinie. Gdy ludzie puścili się w dalszą drogę — przednia straż reniferów uczyniła toż samo, ale główny korpus stada nie ruszał się z miejsca. Wówczas, przywódca, dawszy znak pierwszym, aby zaczekali, podszedł do opieszających i uderzając każdego rogami, zmusił ich, aby powstał i równym sznurem puścili się w dalszą, ku nowym pastwiskom — wędrówkę. (Tour du Monde, 1874 r. drugie półrocze str. 107.) Widzimy zatem, że organizacja gromad wśród ssących jest bardzo wysoka.

(c. d. n.)

Kobieta w Świecie i w domu

OPIEKA NAD DZIEWCZĘTAMI JAPONSKIMI.

W Brazylii znajduje się przeszło dziesięć tysięcy emigrantów japońskich, którzy porzucili swe rodziny i ożenili się z brazylijkami. Wskutek tego bardzo dużo dzieci japońskich pozostało zupełnie bez opieki, a dziewczęta japońskie nie mogą znaleźć mężów, gdyż prawie cała młodzież emigruje do Brazylii. Żona posła japońskiego w Brazylii, pani Tarami, postanowiła przyjść z pomocą swoim rodaczkom, pozbawionym rodziny i możliwości zarobienia na swoje utrzymanie,

udała się więc do Japonji i przywiozła stamtąd listę młodych dziewcząt-sierot, poszukujących męża. Lista ta, wraz z fotografiami kandydatek do stanu małżeńskiego, została ogłoszona w Brazylii, i przeprowadzona została staraniem poselstwa japońskiego agitacja wśród młodych robotników japońskich, celem skłonienia ich do zawarcia związków małżeńskich z opuszczonymi dziewczętami w kraju. Gdy zgłosiła się dostateczna ilość kandydatów, rząd japoński wyprawił do Brazylii specjalny statek, wiozący kilka tysięcy młodych dziewcząt japońskich — narzeczonych, osiad-

łych w Brazylii Japończyków. W ten sposób, dzięki inicjatywie pani Tarami, rząd japoński stara się zapobiec zarówno szerzeniu się nędzy i demoralizacji wśród opuszczonych rodzin japońskich we własnym kraju, jak i wynaradawianiu się emigrantów japońskich w Brazylii.

NOWE POLE PRACY.

Francuzki wzięły się ostatnimi czasy bardzo gorliwie do księgarstwa. Zarówno w Paryżu, jak i w miastach prowincjonalnych, powstają jedna po drugiej księgarnie, zakładane i prowadzone wyłącznie przez kobiety. Jedną z najsławniejszych jest księgarnia, otworzona przez księżnę Murat, zaopatrzona nie tylko we wszystkie nowości literackie, lecz i w bardzo obfite zbiory starych wydawnictw, cennych sztychów i t. p. dzieł sztuki. Sklep księżnej Murat jest stałym miejscem zebrań inteligencji paryskiej i świata literackiego.

DZIKIE WYBRYKI MODY.

Pisma amerykańskie podają opis niektórych tualet, lansowanych przez wielkie „ateliers“ krawieckie w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Bostonie i t. p. wielkich miastach amerykańskich, celem zaćmienia mody paryskiej i wykazania świata pomysłowości amerykańskiej w dziedzinie strojów damskich. Sądząc jednak z tych opisów, gust amerykański nie znajduje z pewnością wiele naśladowczyń poza granicami własnego kraju. Pomysły zdobnicze krawców i modniarek amerykańskich polegają głównie na dziwac-

twach, przypominających raczej upodobania poprzedników nowoczesnych mieszkańców Stanów Zjednoczonych — Mahikanów i Siouxów, niż gesty ludzi cywilizowanych wieku dwudziestego ery chrześcijańskiej. Tak np. na jednym z pokazów, urządzanych przez wielki „salon mód“ nowojorski, modelki prezentujące toalety miały wszystkie na sobie klejnoty i akcesoria toaletowe, przypominające do złudzenia ozdoby dzikich krajowców Afryki, a więc: olbrzymie, długie, bo zwisające aż na ramiona, kolczyki, złote bransoletki na nogach, i — co wzbudzało największą sensację — naramienniki, skonstruowane w ten sposób, że ramię wygląda, jakby przebite strzałą. Na wąskiej obręczy złotej lub srebrnej przytwierdzone są ozdoby, imitujące doskonale pierzaste zakończenie strzały, z drugiej zaś strony — wystający grot zaostroszony, z naturalistycznie zabarwionym na czerwono końcem, co dawało doskonale złudzenie ramienia, przybitego grotem strzały.

Do bardziej estetycznych i nie tak już barbarzyńskich pomysłów należy wprowadzenie mody sukien, zwanych „aquarium dress“. Suknie te przybrane są haftem, wyobrażającym różne rodzaje ryb, i to wykonanych w sposób wysoce naturalistyczny. Dobór kolorów i mieniące się, a błyszczące łuski, które suknie jest naszyta, wywołują podobno efekt wysoce artystyczny. W każdym razie wątpić należy, czy Paryż zechce zrezygnować — jak sobie pochlebiają Amerykanie — z własnego gustu i pomysłowości, i pójść w dziedzinie mody za przykładem Ameryki.

JAN BRAND

1841 — 1915 r.



Wystawa dzieł Józefa Brandta w Zachęcie obejmuje cztery sale. Zgromadzono tu więc bogaty materiał, który pozwala poznać i ocenić twórczość tego artysty, rozpętłą swym pięćdziesięcioletnim trwaniem (1864—1914) pomiędzy romantyzmem połowy XIX w., — a modernizmem pierwszej ćwierci XX w. Sztuka Brandta w całości jest bardzo niedzisiejsza i tematem, uczuciowością, formą artystyczną tkwi w drugiej połowie XIX w., źródłami swymi sięgając nawet dużo dalej, bo może aż do flamandzkich i holenderskich mistrzów.

Pomimo jednak całkowitej nieaktualności artystycznej, dzieła Brandta zachowują walory nieprzemijające, jak wszystko, co wyszło z rąk prawdziwego artysty i co szczerością swą i rzetelnością zatrzymuje wrażliwego widza.

Wystawa Brandta budzi szereg refleksyj wspomnień, rozważań, asocjacji, często z samem malarstwem niewiele mających wspólnego. Obrazy jego bowiem mówią do zwiedzającego przede wszystkim swą treścią, interesują tematem. Czynniki ten sprawia, że mogą liczyć na wdzięczne przyjęcie u szerokiej publiczności; nie grzeszą niezrozumiałością pod żadnym względem, co najwyżej wymagają pewnego minimum znajomości historii i etnografii.

Mamy przed sobą kozacczyznę, szlachecczyznę, polskość dawną na Kresach, bitwy, przeprawy wojsk przez rzekę, potyczki, czaty, polowania, ciągnące karawany, ich postoje.

Obrazki rodzajowe z wczesnego okresu tworzenia są nieco sztuczne, figury ludzkie są w nich sztywne, jakby upozowane do fotografii.

Temperament Brandta kierował go już w najdawniejszych utworach do przedstawiania ruchu (przeprawa przez rzekę, Bitwa pod Chocimem). Szczerze i całkowicie wypowiada się tam, gdzie

daje pęd, zderzenie, skok, cwał, gdzie maluje konia, konia z jeźdźcem, epizody bitew, lub polowań.

Czuujemy, że temat jest właściwie dla Brandta tylko pretekstem. Wskrzeszanie historii nie służy mu do celów ideowych, patriotyczno-obywatelskich, — jest ono raczej okazją dla przejawiania się jego dynamizmu malarskiego.

Rozpatrując dzieła Brandta w chronologicznej kolejności, można prześledzić wyzwianie się artysty z pod akademickiej przepisowej sztywności ku coraz większej swobodzie, ku coraz pełniejszemu wyrażaniu swej brawurowej i szerokiej indywidualności.

Stwierdzamy to w kompozycji, w układzie figur, w coraz swobodniejszym posługiwaniu się plamą. Barwa pierwszych obrazów jest po monachijsku przykro-brunatna. — Im dalej, tem staje się jaśniejsza i pod względem kolorystycznym bardziej samodzielną.

Brandt jest realistą, dobrym i trzeźwym obserwatorem, który podpatruje życie na gorącym uczynku tylko w pełnych ruchu fragmentach, natomiast duże ugrupowania noszą w jego dziełach zbyt wyraźne piętno zamierzenia, „skomponowania“.

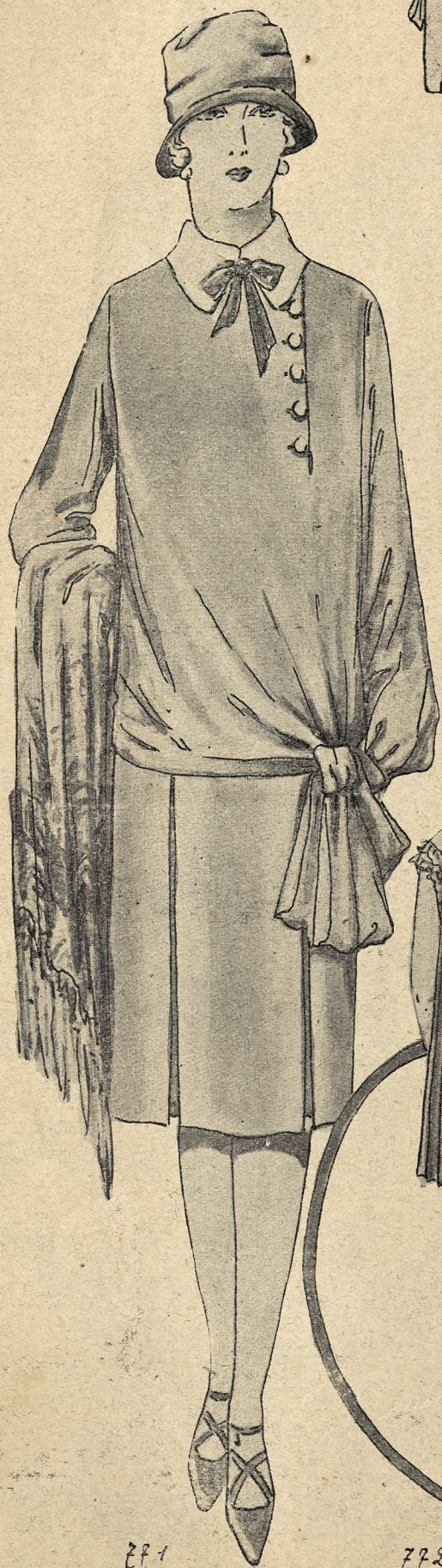
Niekiedy jest sentymentalny i zlekka romantyczny, jak w „modlitwie na stepie“, w której plama purpury i złota kontrastuje z niebieskawo-zieloną szarością tła.

Obraz ten budzi wspomnienia wielkich traktów i szlaków kresowych, karawan i czumaków, — grupa centralna pogrążonych w modlitwie, wśród ciszy pozachodniej wieczoru, kobiet na melancholiję wygnańcza polskość naszych prababek.

Ciekawe są szkice Brandta. Wśród nich piękny szkic do wesela chłopskiego, jedrny, soczysty, pełen życia, wydobytygo z plam barwnych, pełen powietrza i mocnych kolorów, o ileż jest bardziej bezpośredni od znanego obrazu na ten sam temat.

N. Samotyhowa.





221



222



224.

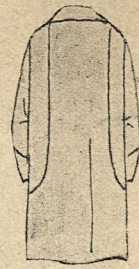
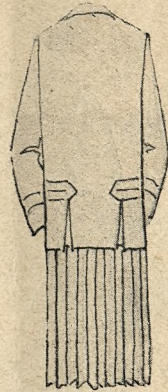
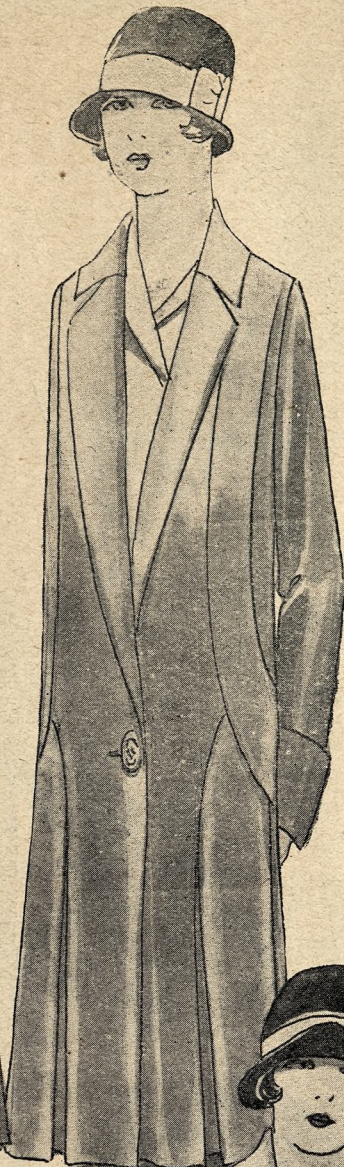
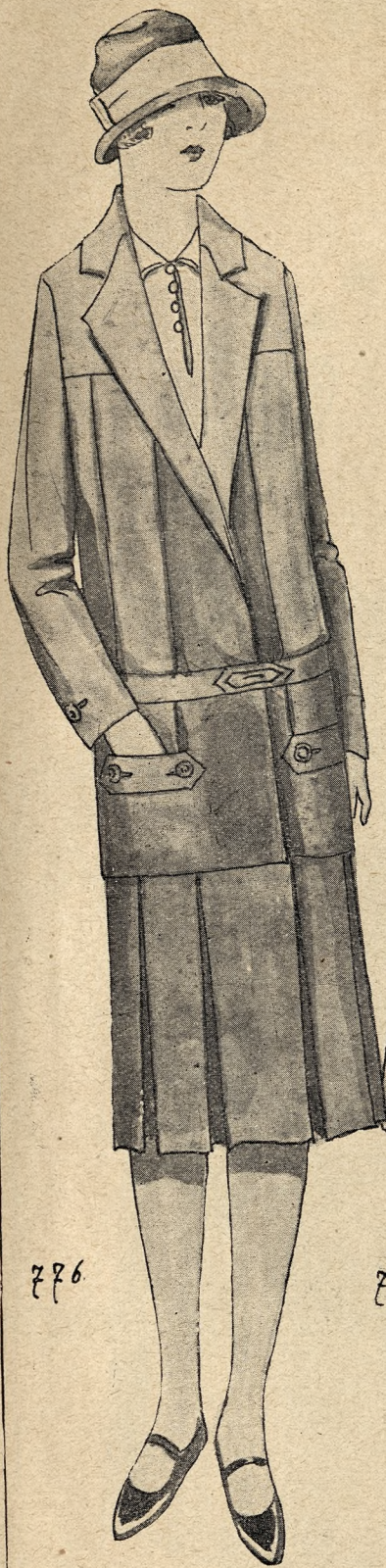


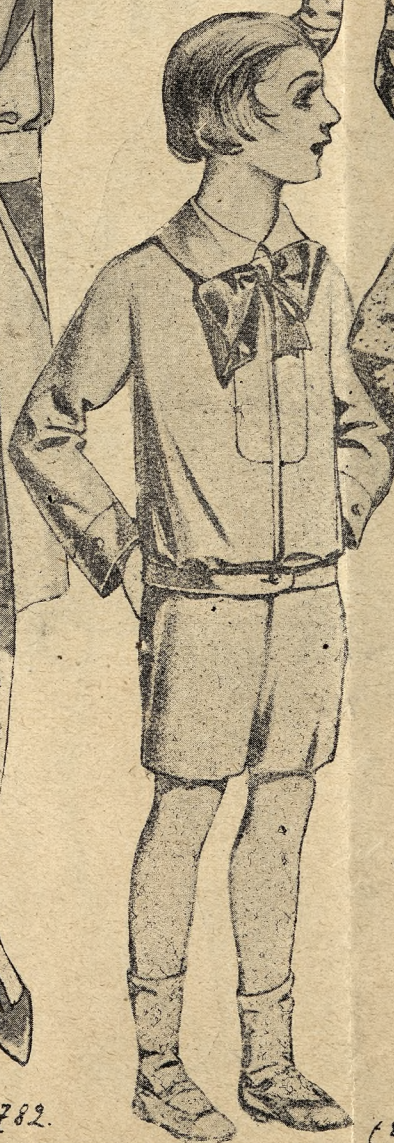
225.

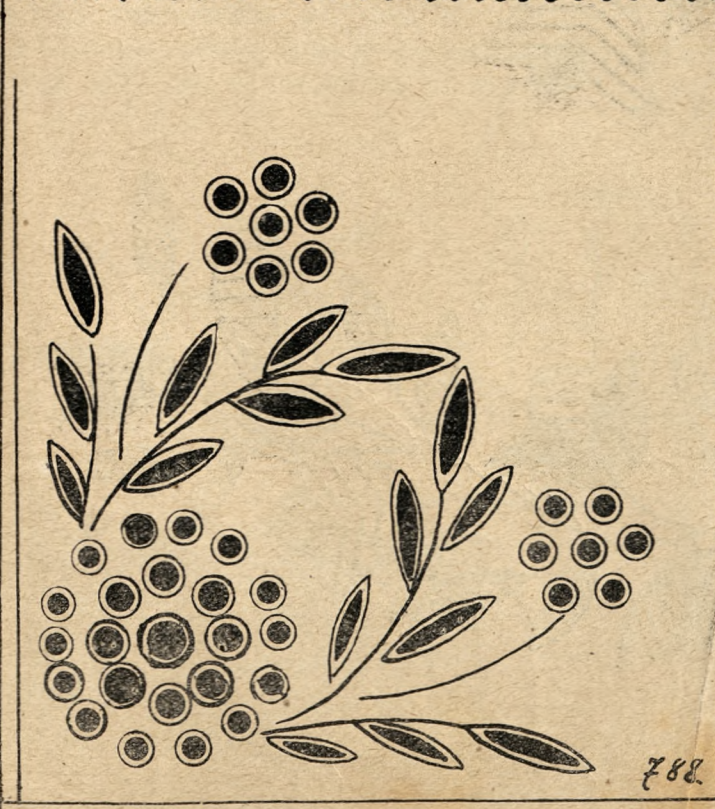


223











290.



KAPELUSIK SZYDEŁKOWY DLA MŁODEJ PANIENKI.

Aby wykonać ten wdzięczny kapelusik, trzeba przedewszystkiem zrobić pod niego spód z fularku i muślinu sztywnego.

Ukroić 6 kwatek z wziętego podwójnie muślinu i 12 kwatek z fularku, zeszyć po 6 ze sobą, (Rys. Nr. 2) tak aby otrzymać 2 główki jedną na wierzch, drugą pod spód. Przyfastrygować do wierzchu zeszyte ze sobą części muślinu, który doda sztywności główce. Założony brzegiem do środka fasonik obszyć skosem jedwabnym, nafastrygowanym na muślin, (Rys. Nr. 2.)

Ten skos zeszyty w kółko będzie miał w miejscu, gdzie się łączy z główką, obwód głowy. Odwrócony skos podwójnie podszyty fularkiem, aby muślin był niewidoczny, tworzy rondko kapelusika.

Przygotowany fasonik nakrywa się wstawką szydełkową, zrobioną z bawełny „coton perlé” białej Nr. 5, której powinien wyjść jeden kłębek. Szydełko stalowe dobrać do odpowiedniej grubości bawełny.

Zrobiwszy podług wzoru naturalnej wielkości, (Rys. Nr. 3) kółko na środek główki obszyć je wstawką również ręcznie szydełkiem wykonaną, a składającą się z takich samych jak środkowe kółeczek, połączonych ze sobą z obydwóch stron rzędem łańcuszkowych oczek, przyczepionych do kółek i zapomocą kilku ścisłych oczek, robionych na powietrzu, a wkłóowanych w rząd, (Rys. Nr. 4),* złączonych ze sobą.

Po zrobieniu potrzebnego kawałka wstawki odrobić ją z jednej strony rzędem ścisłych oczek, z drugiej pozostawiając łańcuszkowe.

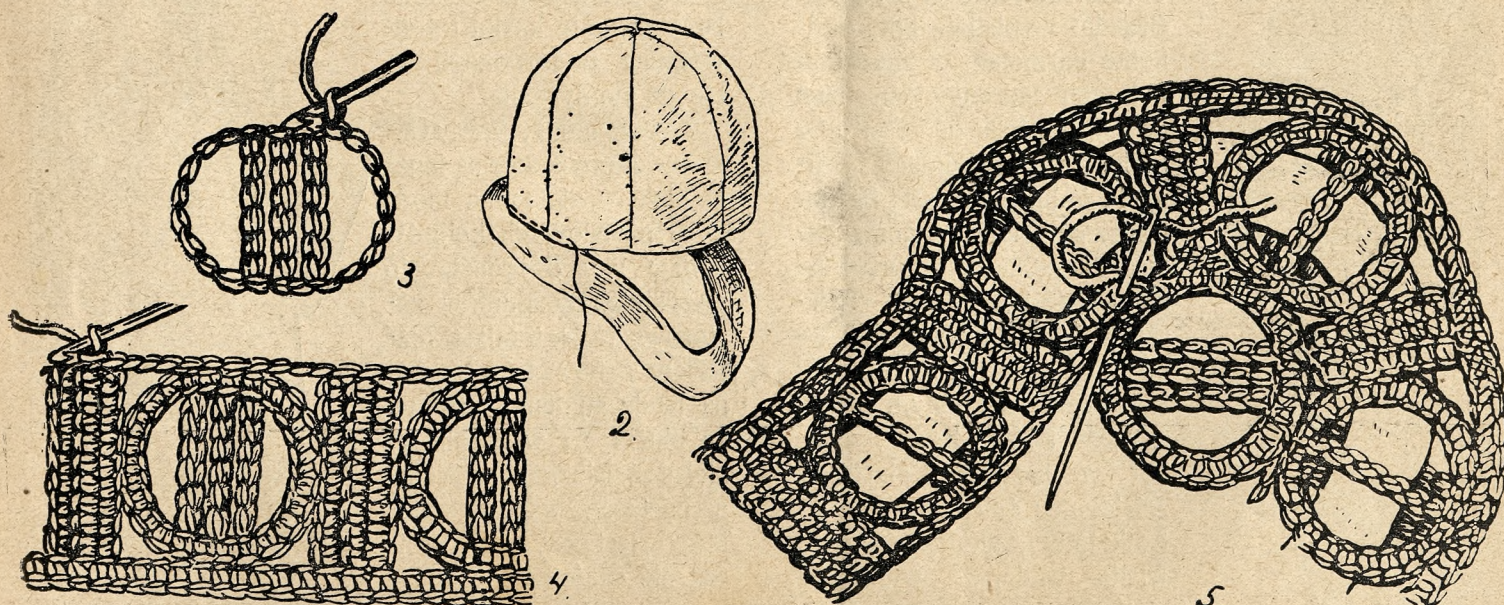
Nawlec je na długą nitkę, aby zeszywając ze sobą, móc przyciągać okrąg w miarę potrzeby, układać wstawkę podług główki, przyciągając ją w miarę potrzeby i przyczepiając gdzie niegdzie białego cienkiego jedwabiu. Takich wstawek powinno być siedem na głowie i jedna nad spodem rondka, które z boku przyczepia się do główki różyczką wymarszczoną z wstążeczki. Taką samą wstążeczką obszywa się brzeg kapelusika i pociąga wstawką.

Kto woli, może zamiast wstążeczki użyć skosika crepe de Chine'u, zeszytego i odwróconego na nitce, który doskonale zastąpi wstążeczkę i ma ten awantaż, że kolor może być ten sam co u sukienki, co we wstążce trudno znaleźć.

Taki kapelusik tani, elegancki i strojny można robić niekoniecznie z białej bawełny, śliczny będzie również ze złotej, lub srebrnej nitki, albo z kolorowego jedwabiu. Natu-

ralnie i wstążeczkę także trzeba dobrać w odpowiednim do wstawek kolorze.

W wolnych od nauki chwilach, lub podczas wakacji młoda osobka może sama zrobić sobie jeden, lub więcej kapelusików, a nie tylko one sprawią jej przyjemność, lecz także to, że są wypracowane własnymi jej rączkami.



POD KOSTJUM.

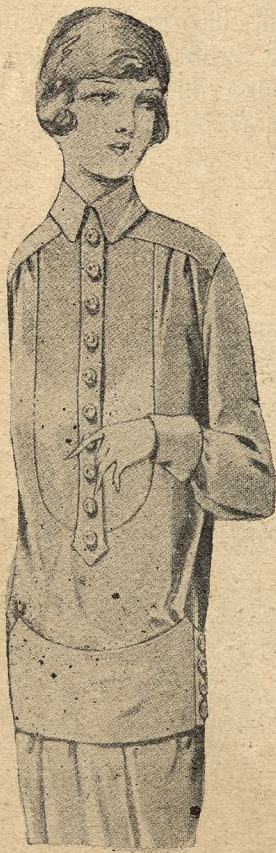
Niezbýt dawno temu, na jakimś posiedzeniu dobroczynnem, zgromadzone szlachetne matrony, w oczekiwaniu na quorum, wiodły dyskurs na tematy praktyczne. Doszły one tedy do wspólnego wniosku, że za bluzkę pod kostjum należy uważać taką bluzkę, która bez przykrycia żakietu już nosić się nie da. Do czego to jednak wojna i kryzysy ekonomiczne zdołały ludzi doprowadzić. Szykowna paryżanka ma stosowną suknię do każdego okrycia, lub odpowiednie przykrycie do każdej sukni. Czasem miewa do jednego okrycia aż dwie suknie: jedną z tego materiału co okrycie, druga jak podszewka. Elegancja, urozmaicenie i pomysłowość. Moda krótkich smokingowych żakietów przywraca palmę pierwszeństwa bluzce. Miłe, długie casques, tak jeszcze zeszłej jesieni lubiane, należą już do przeszłości, bluzka nie



tego stosuje się je tylko w strojnych bluzkach z crêpe de chine'y lub geourgette'y. Przy bluzkach z materiałów białozłotych lub z surowego jedwabiu, robi się kołnierze takie, jak przy koszulach męskich, dające się dowolnie wykladać lub też zapinać pod szyję. Przy takich bluzkach nosi się wiązany po męsku krawat, lub też dużą taftową kokardę, nieraz w dość jasnym odcieniu. Modne są również małe okrągłe kołnierzyki wykładane, przy bluzkach z cienkich tkanin robi się je podwójnie, dają się one ładnie połączyć z żabotem. No i może najładniejsze są długie wąskie kołnierze szalowe, wiązane w krawat lub kokardę, szczególnie odpowiednie przy bluzkach z miękkiego mięsistego jedwabiu. Wycięcia przeważnie długie. Wynosi się wrażenie, że moda chce

dodać nam od góry to, co nam odejmuje od dołu. Modne są nawet bardzo wysokie kołnierze podchodzące pod same uszy. Nadają one sylwetce charakter niezmiernie dystyngowany, ale nosić je mogą tylko osoby o ładnej długiej szyi i nieskazitelnym owale. Przy grubym karku i podwójnych podbródkach są nie do pomyślenia.

Zawsze ładne, do wszystkiego odpowiednie są bluzki białe. Cała gama modnych pastelowych kolorów nadaje się doskonale do wszystkich kostiumów zastosować. Natomiast materiały pstre, tak bardzo na letnie sukienki lubiane, na bluzki są w absolutnej niełasce. Bluzka współczesna nosi się zawsze na spodniczkę, jest oczywiście krótsza niż żakiet, kończy się zawsze mniej więcej na



może być dłuższa niż okrycie. W duchu obecnej mody są całości jednokolorowe, więc żakiet i spódniczka z wełny w odcieniu przypuśćmy bois lub vert amande i bluzka z jedwabiu w tym samym kolorze. Przecież wygładają takie jednolite harmonie w modnych kolorach pastelowych, lilas de parme, bois de rose, gris perle; przy kostiumach ciemnych, ładniej wygląda bluzka jasna, ożywiająca ciemną całość. Najładniejszym przybraniem bluzki jest żabot, marszczony, plisowany lub karbowany. Fasonów żabotów jest bez liku, jednym z najnowszych jest plisowany żabot w kształcie plastrona zciętego w dole okrągło lub trójkątnie. Żaboty mają tę wielką wadę, że wymagają chemicznego prania, wobec

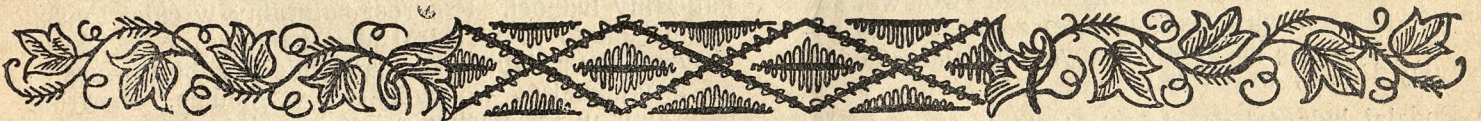
linji bioder. Czasami bywa zakończona szerokim pasem, częściej bywa od dołu do góry równa. Wciąga się przez głowę, stąd nazwa „pull over“ (wciągana przez wierzch). Przy kostiumie zawsze na miejscu jest jumper z jedwabnego trykotu, ale choć ładny, praktyczny, doskonale w duchu mody utrzymany, nie posiada już uroku ostatniej nowości i z tego powodu nie jest w stanie zadowolnić modnej wybredni. Żadnym akcesorium przy bluzce jest kamizelka bez rękawów. Wygląda bardzo sztywnie przy rozpiętym żakiecie, po zdjęciu żakietu tworzy bardziej wykończoną całość, niż sama spódniczka z bluzką. Najładniej wyglądają takie kamizelki z tafty w szerokie pasy lub kraty. Nieraz resztką brokatu w fantastyczne smoki lub kwiaty da się użyć na przesłizną kamizelkę. Bardzo ładne można robić kamizelki haftem krzyżykowym na tiulu. Zresztą każdy rodzaj haftu da się tu zastosować. Kamizelka jest to jedyny szczegół kostiumu tailleur, który może i nawet powinien być pstry i jaskrawy. Reszta winna być bez zarzutu, surowa w kroju i kolorze. Przy kostiumach deux pièces (suknia z żakiem) aby



uniknąć całości zbyt ciężkiej (wełna na wełnę to bardzo gorące), zeszywa się górę z jedwabiu z sukiennym lub gabardinowym dołem. Czasem dodaje się trochę wełny w odrobieniu rękawów i kołnierza. Czasem utrzymuje się taką całość w jednym kolorze, czasem w różnych jednego koloru odcieniach (bardzo modne, czasem w barwach kontrastujących. N. P. granatowa gabardina z kremową crêpe de chine, albo białe sukno i jedwab bleu nattier. Ta ostatnia kombinacja nieoczekiwana i przesłizna. Często na złączeniach stosuje się haft, przyczem, jak w ostatnim wypadku, haft na białym tle byłby błękitny, na błękitnym biały. Ciemny kolor foxtrott noszący obecnie miano najciemniejszego bois de rose, przepięknie harmonizuje z najbledszym bois de rose odcieniem. Brunatny z kolorem blonde lub champagne. Zresztą kombinacji jest mnóstwo, przy pomysłowości

no i materialnej możliwości wykonania pomysłu można by tworzyć arcydzieła do nieskończoności. Dla ogromnej większości, „Bluzką pod żakiet“, nadal pozostanie ta sprana, wycerowana i przyciasna stara bluzka, której bez żakietu włożyć nie można. Smutne to ale prawdziwe

Well.



POLSKA WSPÓŁCZESNA.

X.

LUDNOŚĆ RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

(c. d.)

Ludność Rzeczypospolitej nie jest rozmieszczona równomiernie na całym obszarze Państwa. Niektóre prowincje Polski są zaludnione nadzwyczaj gęsto — jak np. Górny Śląsk, gdzie znajdujemy 266 mieszkańców na jednym klm. kw., lub województwo krakowskie, gdzie przypada około 114 mieszkańców na klm. kw. Inne tereny Polski są zaludnione niezwykle ubogo, — jak np. województwo poleskie, gdzie na 1 klm. przypada zaledwie 20 mieszkańców.

Gęstość zaludnienia poszczególnych obszarów Polski i porównanie gęstości zaludnienia Polski z zaludnieniem innych Państw, podaje załączona tablica.

Ludność polska w olbrzymiej większości zamieszkuje na wsi. W całej Polsce zamieszkuje w gminach wiejskich około 73% ludności, w miastach zaś 28%. Najwięcej ludności miejskiej znajdujemy w województwie poznańskim — ludność miejska stanowi tam 35% mieszkańców. Najmniej ludności zamieszkuje w miastach, w województwie nowogrodzkim, bo tylko 11%. Miast na terenie Polski mamy ogółem około 650, z czego miast liczących powyżej 50.000 mieszkańców jest 12. Do wielkich miast zaliczamy Warszawę, stolicę Państwa, która w r. 1921 liczyła 936.713 mieszkańców, Łódź liczącą 452.000 mieszkańców, Lwów liczący 219.000 mieszkańców, Poznań 185.000 mieszkańców, Kraków — 184.000 mieszkańców, Wilno — 129.000 mieszkańców i Katowice — 104.000 mieszkańców. Wielkie miasta polskie rosną jednak szybko i dzisiaj

już zapewne posiadają większą stosunkowo liczbę ludności, niż to wykazał spis ludności z r. 1921.

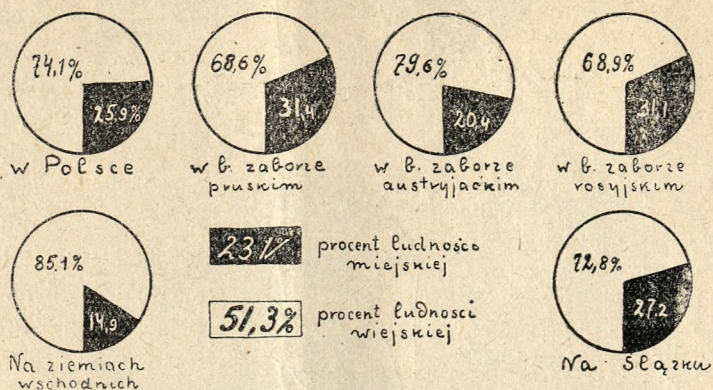
Ciekawe są dane dotyczące gęstości zaludnienia w miastach. Tak więc w Warszawie na 1 klm. kw. obszaru miasta przypada 7.741 mieszkańców, w Łodzi na 1 klm. kw. — 7.660 mieszkańców, we Lwowie — 6.856 mieszkańców, w Krakowie — 3.909 mieszkańców, w Poznaniu — 2.799 mieszkańców. Do najmniej zagęszczonych miast w Polsce należy Toruń, liczący tylko 1.095 mieszkańców na klm. kw., a do najgęściej zaludnionych należy Królewska Huta położona na Górnym Śląsku, w której na 1 klm. przestrzeni miasta zamieszkuje 12.107 mieszkańców. Liczby te mają duże znaczenie dla możliwości rozwoju miast, a także dla warunków higienicznych jakie w danym mieście istnieją.

Wsi, osad, kolonij i t. p. istnieje w Polsce ogółem około 84.000. Średnia ilość mieszkańców przypadających na jedno osiedle wynosi 30.000, jednakowoż istnieją osiedla niezaliczone do rzędu miast, których ludność dosięga 25.000 i więcej mieszkańców. Zaludnienie poszczególnych województw w porównaniu z ich obszarem było zamieszczone poprzednio, w artykule omawiającym podział administracyjny Polski, w Nr. 28.

Podział ludności na płci nie jest również równomierny. Prawie na całym obszarze Państwa przeważają ilościowo kobiety. Tylko na Górnym Śląsku znajdujemy niewielką przewagę mężczyzn. Przeciętnie na 100 mężczyzn wypada w Polsce 107 kobiet, jesteśmy więc krajem przewagi płci pięknej. Kobiety mają znacznie większą przewagę w miastach, niż w okręgach wiejskich, gdzie panują stosunki bliższe równowagi.

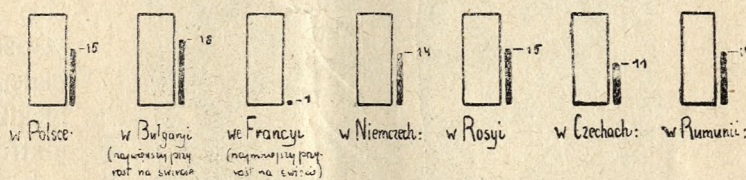
Śmiertelność ludności Polski, waha się także zależnie od miejscowości. Większa śmiertelność panuje w województwach wschodnich, niż w województwach centralnych i zachodnich. Śmiertelność ludności miejskiej przewyższa znacznie śmiertelność ludności zamieszkałej na wsi. Z pośród miast najmniej śmiertelność znajdujemy w Warszawie, gdzie umiera rocznie tylko 15 osób na 1.000 mieszkańców.

Ludność miast a ludność wsi.



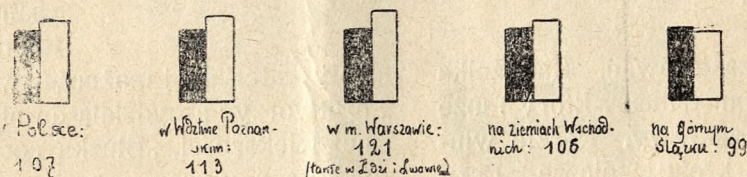
Przyrost ludności

na 1000 mieszkańców przyrost roczny wynosi:



Kobiety i mężczyźni

na 100 mężczyzn przypadają kobiety



Znacznie większa śmiertelność panuje w miastach fabrycznych, jak Łódź, Sosnowiec, Katowice i inne. W miastach tych śmiertelność waha się od 17 do 20 zgonów rocznie na 1.000 ludności. Największą śmiertelność wykazuje Kraków, w którym przypada 21 zgonów rocznie na 1.000 mieszkańców.

Statystyka urodzin jest także nierównomierną w poszczególnych województwach. Ilość urodzin w województwach centralnych i południowych, a przedewszystkiem ilość urodzin w województwach zachodnich przewyższa ilość urodzin w województwach wschodnich. Z pośród miast, największy przyrost dzieci zanotowano w Sosnowcu, gdzie rodzi się przeciętnie 34 dzieci na 1000 mieszkańców w ciągu roku. Duży przyrost dzieci posiadają miasta b. zaboru pruskiego. Warszawa liczy 23 urodzenia rocznie na 1.000 mieszkańców i jest obok Lwowa, miastem o najmniejszej ilości urodzin w Polsce.

Przez porównanie ilości urodzeń z ilością zgonów otrzymujemy liczby charakteryzujące nam przyrost naturalny ludności. Przyrost naturalny w całej Polsce wynosi około 17 na 1.000 mieszkańców. Największy przyrost naturalny wykazują ziemie b. zaboru pruskiego, a najmniejszy województwa wschodnie. Przyrost naturalny w miastach nie jest również równomierny. Najmniejszy przyrost z pośród miast posiada Lublin i Kraków, gdyż tylko 6 na 1.000 mieszkańców, Warszawa posiada przyrost 8 na 1.000 mieszkańców. Największy przyrost daje Bydgoszcz, Grudziądz i Toruń, gdyż przyrost dochodzi tam do 20 na 1.000 mieszkańców. Biorąc pod uwagę przyrost ludności, i dodając go do ludności wykazanej przez spis z r. 1921 i powiększonej następnie przez powrót uchodźców z Rosji, możemy łatwo obliczyć, że ludność Polski w roku 1926 powinna wynosić około 30.000.000. Jeżeli ludność Polski będzie i nadal przyrastała w tem samem tempie co obecnie, to w ciągu lat podwoimy zaludnienie naszego Państwa. Będziemy podówczas jednym z pierwszych, co do zaludnienia, mocarstw Europy, gdyż dzisiejsze wielkie Państwa, Francja, Niemcy, Anglja i Włochy, nie mogą się z nami równać co do wysokości rocznego przyrostu naturalnego.

HAFTY LUDOWE.*)

Moda podobna do strojnej papugi lubi powtarzać zachwyty nad haftem ludowym.

Należałoby bliżej zaznajomić się z ową krynica natchnień naszych artystów i nauczyć się ją odróżniać od niezliczonych jej surogatów. Mamy w Polsce kilka typów haftów ludowych.

Zasadniczą cechą haftów wschodnich (indyjskich, perskich, chińskich, japońskich) jest polichromja.

Nie tylko dzięki skomplikowanemu i wytwornemu rysunkowi, ale i olśniewającym harmoniom barwnym hafty wschodnie uchodzą za najpiękniejsze na świecie. Etnograficzne hafty krajów zachodnich (nie mówimy o stylowym hafciarstwie kościelnym) są naogół białe, lub dwubarwne.

Te same różnice zasadnicze, jakkolwiek w mniej-szej skali można dostrzec między haftami ruskimi, („wzory tkactwa krajowego“ muzeum lwowskiego) a typowymi haftami ziemi krakowskiej. (Zbiory Seweryna Hozielei.) Hafty huculskie i ruskie są kolorowe i dwubarwne, najczęściej o motywach geometrycznych, tradycyjne hafty krakowskie przeważnie wykonywane są białym atłaskiem; typowym jest ornament roślinny o wielkim bogactwie wzorów i szlachetnie wygiętej linii. Charakterystyczne są ażurowe połączenia szydełkowe. Takim haftem lud krakowski zdobi fartuchy, przody koszul, chustki na rogach; hafty tego rodzaju spotykamy już coraz rzadziej w okolicach Krakowa.

W Makowie (st. Myślenickie) haftarstwo ludowe przekształciło się dzięki szkole miejscowej w zorganizowany przemysł chałupniczy. Obecnie Maków liczy 400 wykwalifikowanych hafciarek. Absolwentki szkoły zawodowej grupują się w dwóch organizacjach: Związku kobiet pracujących i Związku Zjednoczonych Hafciarek. Przyjmują one zamówienia prywatne lub wyjeżdżają do szwalni i domów prywatnych na haftowanie bielizny. Najbardziej tam rozpowszechniony jest haft biały, haft kolorowy osnuty jest na motywach ludowych, z których ciekawy album posiada kierowniczka szkoły.

Na Podhalu lud haftuje gunie i spodnie z białego sukna oraz zdobi aplikacjami kożuszki. Wszystkim znane są bogate „parzenice, „gwiazdy“, „pieski“, „leluje“, „ośmiry“ haftowane jaskrawymi włóczkami.

Charakterystyczne, że w wielu górskich wsiach „cyfrują“ mężczyźni owe cudne wzory z samego zamiłowania do stroju i wytworności. Kunsztu swego nie biorą na serio; haftarzy sąsiedzi nazywają „próżniakami“. Kobiety natomiast, jak w świecie ptasim i zwierzęcym są mniej strojne i zatraciły swój strój odwieczny.

Od czasu, jak Zakopane stało się metropolią naszych uzdrowisk, produkuje się masami haftowane pantofle, serdaki, gunie, na sprzedaż. Haft pośpieszny ze stereotypową szarotką, parzenicą lub gwiazdą, stracił cały przepych zdobniczy i wykonany jest naprędce i byle jak, tylko dla siebie górale „cyfrują“ nadal pięknie i po staremu. Odrębną technikę mają aplikacje z saffjanu na kożuszkach ozdobionych haftem. Słynne z tych haftów były białe kożuszki Białcańskie mniej urozmaicone, acz podobne hafty spotykamy na białych kożuszkach huculskich, ozdobionych haftami i pomponikami z barwnej włóczki odwieczną tradycyjną modą.

Hafty huculskie na koszulach bodaj są najwspanialsze i do dziś dnia najbardziej rozpowszechnione w Kosowskiem, Żydaczowskiem, Borszewskiem, sło-

wem we wschodniej Małopolsce zamożność i elegancję rusinki rozpoznaje się po bogactwie wyszyć na rękawach koszul.

Trzeba przyznać, że huculszczyna odznacza się zdumiewającym smakiem artystycznym formu i koloru, hucul, potrafi stworzyć własny typ budownictwa oraz zdobnictwa w każdym zakresie. Twórczość ich jest tak pełna i zdumiewająca, że niektórzy uczeni tłumaczą to hipotezą o ich pochodzeniu helleńskim.

Rusinki wyszywają wprost na płótnie bez pomocy kanwy. Między rzędami poprzecznymi, podłużnymi nici tworzących płótno są oczka, przez które „Szwala“ przepycha igłę. Oczywiście ten sposób wyszywania wymaga wybornego wzroku i „miary“ w oku.

W hafcie ruskim używane są ścięgi najrozmaitsze, sznureczkowy, krzyżykowy, tamburowany i t. p., naogół zaś można podzielić hafty Wschodniej Małopolski na 3 typy: wyszycia zakrywające płótno na kształt tkaniny bez pozostawiania płótna i wyszycia ażurowe, mereżkowe (broderie au plumetis) oraz zwykłe krzyżykowe.

Te pierwsze są najpiękniejsze i najstarsze, spotykają się wyłącznie na Huculszczynie w barwach: czerwonej, zielonej, czarnej, żółtej. Hafty pokuckie niemal wyłącznie używają barwy czerwonej, zielonej i czarnej. Hafty Wołyńskie czerwone tylko lub czarne, lub czerwono-czarne są ażurowe w tem znaczeniu, że przegląda przez nie tkanina.

Wzory są geometryczne lub silnie stylizowane roślinne w kształtach prawie geometrycznych. Na realistyczne ich pochodzenie wskazują tylko nazwy „chresty, kopytce, ćwitki, chmil, winohrad“ i t. p., gdyż form tych niepodobna już odgadnąć. Huculszczyna i naogół Małopolska Wschodnia nie zaniechała wyszyć. „Wzory tkactwa krajowego“ wydane przez muzeum lwowskie skrzętnie notują miejscowe motywy. Natomiast na Wołyniu haftarstwo należy już do przeszłości. Na Polesiu (wzory różniące się mało od wołyńskich) wskrzeszeniem i rozwojem haftarstwa zajęły się towarzystwa kwakrów i baptystów, wysyłające wyszycia do Ameryki oraz Komitet Pomocy Polskim Kresom Wschodnim, który stworzył liczne placówki tkactwa i haftu — zorganizowane na zasadach spółdzielczych.

Nie trzeba dodawać, że we Wschodniej Małopolsce działają różne towarzystwa rusińskie, skupujące i zamawiające hafty.

W b. Kongresówce próbowała oparte w ramach etnograficznych przeszczepić haftarstwo p. Karczewska w okolicach Szeńska.

Hafty kaszubskie zostały wskrzeszone na Pomorzu przez ś. p. inż. Gulgowskiego osnute na wzorach tradycyjnych, a wykonywane przez dziewczyny wiejskie miały duży popyt; były też między innymi reprezentowane na wystawie paryskiej.

Tow. Popierania Przemysłu Ludowego w Warszawie pod kierunkiem dyrektora znanego art. malarza Cz. Młodzianowskiego, zapoczątkowało oryginalne dekoracyjne hafty na płótnie w Kampinie pod Łowiczem, które podziwiali Japończycy na wystawie w Paryżu. Najsmutniej pod względem estetycznym przedstawia się haftarstwo w Wielkopolsce. Mamy

*) Dane o obecnym stanie hafciarstwa ludowego z „Zarysu o przemśle ludowym w Polsce“, zaczerpnięte. Janiny Oryużyny. Warszawa 1925. Nakładem Min. Przem. i Handlu.

tam znaczne ośrodki zorganizowanego chałupnictwa, jak Leszno i Grodzisk z okolicami, Zduny i Sulmierzyce. Kobiety z tych okolic poświęcają cały swój czas wolny od zajęć gospodarskich na roboty ręczne, jak wyszycia, guziki niciane, roboty szydełkowe.

Przemysł ten rozwinał się dzięki nakładom z Berlina, Lipska, Aunaberga, którzy osadzili w miastach swych agentów.

Hafciarstwo wielkopolskie było poniekąd ekspozyturą niemieckiego przemysłu, to też wykonywało wzory niemieckie, słynące z braku smaku (technika przeważnie kanwowa lub szydełkowa).

W Niemczech chałupnictwo tego rodzaju jest sze-

roko rozkrzewione. Miasto Aunaberg utrzymuje się z hafciarstwa i szmuklerstwa.

Jakkolwiek nakładcy ciągnęli zyski z pracy wielkopolek, dawali im jednak pewne zarobki, które zostały utracone w znacznym stopniu po odzyskaniu niepodległości. Należałoby wśród chałupnictwa rozpowszechnić polskie etnograficzne wzory i zorganizować zbył.

Poza wymienionymi typami hafciarstwa ludowego, mamy wiele pseudo-sztuki stosowanej, o tandetnym i pośpiesznym wykonaniu, oraz kiepskich wzorach. Lepiej jest stosować wzory etnograficzne.

Jankowska-Oryużyna.

M I R A Ż E.

Zawiła kwestja głodu mieszkaniowego wpłynęła ujemnie na życie rodzin i życie jednostek. Ludzie, ciężko pracujący, gnieźdzą się w szczupłych mieszkankach, gdzie swąd przypraw kuchennych, hałasy i krzyki czupurnej gromadki małoletnich, ciasnota i w ślad za nią idący brak estetyki nęka ich dotkliwie, przygnebiając i tak już podatny melancholiji umysł przepracowanego, źle uposażonego człowieka.

A życie tych, co nawet takiego marnego nie posiadają kąta? Życie jednostek, co tułają się po podnajętych pokojach i pokojkach, znosząc cierpliwie terror swych panów życia i śmierci, którzy z wyrafinowaną złośliwością, lub dotkliwym brakiem wszelkich poczuć ludzkości korzystają z uprzywilejowanej sytuacji?

Mężczyzna w takim wypadku radzi sobie łatwiej — może odpocząć zdala od tych domowych rozkoszy, przesiadując w gronie znajomych, w klubie, kawiarni, czy restauracji, gdzie gawęda, dzienniki, dysputa polityczna, czy naukowa dają mu chwilę zapomnienia, rozrywki. Ale kobieta, zamknięta w ścianach miernego mieszkanka, zabiegająca dzień cały dokoła wyżywienia, obsłużenia organizmu rodzinnego, dźwigająca na swych, wątłych nieraz barkach, cały ciężar tego szarego życia, najczęściej skazana jest na oddychanie duszną atmosferą, uciążliwych braków bez możliwości strząśnięcia ze siebie ich piętna, nawet na krótko. Jeżeli umie rozłożyć planowo prace dnia codziennego, a tem samem znajdzie wolną chwilę, którą ulubionej rozrywce poświęci może, najczęściej stanie jej coś na przeszkodzie — gdy duszą całą rwie się do fortepianu, dzieci śpią lub uczą się, mąż pracuje, jeżeli otworzy z żalem odłożoną wczoraj książkę, znajdzie się niespodziewana trudność, wtargnie w te chwile ciszy i skupienia maleńka a nie cierpiąca zwłoki troska gospodarcza, która porwie ją z miejsca, rozproszy nastroj i wykołoi. Kobieta, która nie założyła jeszcze rodziny, która niema własnego kąta, a niby ptak wędrowny, ściele gniazdo w cudzych murach, tuli się zwykle w szczupłym jakimś kącie, ale pomimo trudu i zapobiegliwości nie może zjednoczyć dokoła siebie tego, co umiłoby jej wolną chwilę i dało po pracy zarobkowej możliwość odetchnięcia atmosferą wolną, od miernoty takiej prowizorycznej egzystencji. Muzykalna — cierpi, nie mając do dyspozycji fortepianu, ciekawa szerszego tchnienia ze świata, żadna za-

znajomienia się z przejawami myśli i pracy ludzkiej, rzadko kiedy ma dostęp do dzienników zagranicznych, prenumerowanie których staje się dzisiaj niedostępnym luksusem, stęskniona do wymiany pojęć, gawędy z gronem osób na równym z nią stojących poziomie, spędza z konieczności ciche wieczory, w szczupłych ścianach swego pustego pokoiku, pocieszając się wiernym przyjacielem, dobrą książką, o którą dzisiaj też coraz trudniej.

Ciężkie warunki materialne, każą pogodzić się z losem, a zdobycie kawałka chleba, zapewnienie sobie już nie jutra, a względnie spokojnego dzisiaj, uważać za stan uprzywilejowania, to też o wpleceniu w życie trochy chociaż piękna czy uroku, poszczególnie jednostki marzyć nie mogą. Gdybyśmy jednak walczyły wspólnie o zdobycie tego, czego w dzisiejszym życiu jednostek brak tak dotkliwie, sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Bo przykłady uczą nas, że groszowe datki, składają się na wielkopomne dzieła, że zapobiegliwość, maleńka zapobiegliwość jednostek, złączona we wspólny czyn, zwalcza olbrzymie trudności.

Z takich to atomów, powstało wspaniałe sanatorium nauczycielskie w Zakopanem, takie nikłe opodatkowanie będzie teraz podwaliną takiegoż gmachu, w którym znajdzie siedzibę podoficerskie sanatorium, dla wojskowych i ich rodzin, na tego rodzaju drobnych oszczędnościach oparła się rozległa działalność czeskiego towarzystwa „Stradal“ (Ciulacz) i taką właśnie akcję zapoczątkować mogłybyśmy wielkie dzieło, które osłodziłoby nasze smutne i ciężkie życie dzisiejsze. Każda z nas, przy dobrej woli, może opodatkować budżet swój, gdyby on nawet był najskromniejszy. Niema kobiety pracującej, niema kobiety prowadzącej własne gospodarstwo, która nie mogłaby oszczędzić, dajmy na to, dziesięciu groszy dziennie, a dziesięć groszy dziennie, to trzy złote miesięcznie, trzydzieści sześć złotych rocznie. Proszę teraz obliczyć, ile inteligentek posiada Warszawa i jaki olbrzymi kapitał da jeden tylko, pierwszy rok, takich oszczędności.

Zanim rozwijać będę dalej wstęgę marzeń, co mi się snuje po głowie, muszę zapoznać Panie z wizją, którą w czyn wcielić za Waszą pragnę pomocą.

Oto marzy mi się stworzenie w Warszawie Klubu kobiecego.

Widzę go gdzieś na krańcach miasta, w ścianach specjalnie na ten cel wzniesionego gmachu — otoczony jest zielenią drzew, grzędami kwiatów, szmaragdowymi taflami, ślicznie utrzymanych trawników, ma place tenisowe, boisko sportowe, widne jadalnie, zaciszne salony i czytelnie, doskonale postawioną bibliotekę, salę koncertową i teatralną, pokoje gościnne, liczne łazienki, pierwszorzędnie zaprowadzone spiżarnie, pralnie i reperownię, jest komfortowy, higieniczny, estetyczny, jest źródłem wytchnienia, radości, ogniskiem, z którego promieniuje wszelkie dobro cielesne i duchowe — jest naszym dziełem i naszym ukochaniem. Powiecie może, że są to senne marzenia. Wy wszystkie, które krocycie szarą ścieżyną, jadacie po marnych stołowniach, na stołach nakrytych ceratą, lub wymęczonym, plamami tłuszczu i sosów znaczonej obrusie, łykając marną strawę w otoczeniu, które jest Wam męką, które Was napęnia odrazą, z którego uciekacie zaledwie obtarłszy usta, byle wyrwać się z kręgu miernoty, co ciężarem legła na całej waszej smutnej egzystencji. Wy, które z takim trudem sprawioną bieliznę i ubranie powierzacie niegodziwym ręką przygodnych praczek, a cenne chwile, wolne od pracy, trawicie na uciążliwej reperacji i cerowaniu, wy wszystkie goniące za chwilą, która wyrwałaby was z kręgu ciągłych małych trosk, za możliwością spędzenia jednej godziny w dniu w otoczeniu, które daje zapomnienie, w atmosferze, która niczem wonna kąpiel ciała duszy waszej pozwoli strząsnąć ze siebie stygmat umęczenia i piętno szarzyzny. Wy, które uginacie się pod ciężarem troski, jaką prześląły ściany waszych domostw i mieszkańek, i wybezdolne, które tulicie się cichutko, w wynajętym pokoiku, wiecznie obce, wyzyskiwane i jutra niepewne.

A teraz spojrzycie proszę w twarz tej sennej marze, jaką wam przed oczy dzisiaj wiodę. Obliczcie się z siłami i odpowiedzcie mi szczerze, czy plan mój wkracza w dziedzinę wizjonerstwa, czy rzeczywiście nieiszczalny jest i pustynnym tchnący mirażem, który rozpląnąć się musi we mgłę złudzeń, jeżeli strudzony wędrowiec w twarz mu spojrzeć zechce?

Na wzniesienie dzieła, o zakroju jaki mi się marzy, trzeba milionów, ale czy z groszy, ze złotych złożonych przez ręce, które we wspólnym solidarnym uścisku zrzeszą się, aby dźwignąć to dzieło, nie można zebrać sum olbrzymich? Trzeba tylko chcieć i umieć. a my przecież tak wiele umiemy, jeżeli ożywia nas trwały entuzjizm umiłowanego czynu.

Czy dla wzniesienia ścian, z których promieniować wam będzie dobro, ciepło, piękno, cisza, wytchnienie po pracy, które staną się dla was zjednoczeniem wszystkiego, co warunki dzisiejsze wyrwały z korzeniem z waszego życia, nie warto ponieść tak małej ofiary, jak wyrzeczenie się jakiegoś drobiazgu, lub poprostu jednego dziennie tramwaju, pudełka pudru, czy flakonu perfum zagranicznych? Jeżeli ograniczy-

my nieznacznie potrzeby nasze, nawet ciężar rodzinnych obowiązków, znajdą się grosze, a z groszy ubieramy miliony.

Pierwsze półrocze akcji, rozumnie zorganizowanej i w poważne ramy ujętej, da nam teren drugie — fundamenty, po roku zaczniemy wznosić gmach, a po dwóch latach słać w nim gniazdo. Każda z nas nie tylko swój skromny grosz, ale co będzie miała w sobie najlepszego, złoży na tym ołtarzu wspólnego dążenia ku lepszej doli. Jedna artyzm, druga fachowe wykształcenie, trzecia umiejętność administracyjną, inna znów dar szerzenia dokoła siebie czaru towarzyskiego, niezastąpiony dar jednoczenia i wytwarzania atmosfery ciepła i czaru kobiecości. Wyłonimy ze siebie te, które hodować będą kwiaty, krzewy i owoce, które poprowadzą wzorową wewnątrz gmachu gospodarkę, staniemy na czele kuchni, pralni, z czasem może nawet własnych pracowni, w których się ubierać będziemy. Wspólnym trudem zorganizujemy wieczory dyskusyjne, muzykalne, będziemy w murach tego naszego domu, przyjmowały swoich gości, uczyły się współpracy i współżycia, z gronem istot bliskich nam duszą i sercem. Będzie on ogniskiem kultury, środowiskiem, które podniesie nasz poziom etyczny i duchowy, da nam szczytne dążenia, naucz. że życie nie składa się tylko z wywalczenia kawałka chleba i związania końca z końcem, od miesiąca do miesiąca. Dalsze i ciągle oszczędności złożą się na żelazny kapitał, który pozwoli nam dzieło zaczęte rozwijać i doskonalić. Odsetki zebranych kapitałów, poświęcimy na kształcenie talentów, na przysparzanie społeczeństwu jednostek cennych i wartościowych, damy naszym czytelnikom świadomość, że w ciężkiej chwili życia znajdują w swoim domu nie tylko oparcie moralne, ale i pomoc materialną, wzniesiemy z czasem własną lecznicę, która otoczy opieką życiowe samotnice, staniemy się wielką zgodną rodziną, której dewizą będzie stałe dążenie wzwyż ku dobru i pięknu.

Na to, żeby akcja przedwstępna wydała pożądane owoce, trzeba sprężystej organizacji, trzeba, abyśmy się opodatkowały wszystkie, abyśmy uprościły to zadanie, w sposób zapożyczony od tych, którzy na drodze planowej oszczędności doszli już do poważnych wyników. Czesi, którzy powołali do życia towarzystwo, o którym wyżej wspominałam, w jednej tylko dzielnicy Pragi, na Winohradach zebrali drogą groszowych oszczędności za ostatnich lat 25 olbrzymią sumę 318 miliardów koron — ciekawem jest to, że w sumie tej 17 miliardów koron przypada na wkładki uczniowskie.

Sumy, powyżej przytoczone, mówią same za siebie i są najjaskrawszym argumentem agitacyjnym, argumentem, którego siła winna przekonać nas, o tem co można zdziałać zgodną współpracą.

W. N....cka.

KURS PRZETWORÓW OWOCOWYCH.

„Koło Miłośników Ogrodnictwa“ urządziło kurs przetworów owocowych, jako konieczne uzupełnienie do kursu jesiennego, który się odbył jesienią 1925 roku. Gdy wtedy chodziło o zużytkowanie i przerób owoców jesiennych: jabłek i śliwek, gruszek i pigw, berberysu i t. p., teraz mamy truskawki i maliny, agrest i porzeczki, wiśnie i jagody czarne, całe bogactwo owoców, mniej trwałych niż jesiennie, gorzej przeróbki znoszących, a zatem nietylko bardziej nadających się

do konserwowania, lecz nawet wprost wymagających natychmiastowego przerobu. Nietyle gospodynie miejskie, które dużych zapasów, dla braku miejsca do przechowania ich, robić nie mogą, a tembardziej myśleć o robieniu przetworów na sprzedaż, ile panie ze wsi, powinny się interesować takimi kursami. Warsztaty pracy na wsi wciąż się kurczą i maleją i na tych zmniejszonych warsztatach należy coraz intensywniej pracować, aby podołać coraz większym wy-

datkom i — podatkom! Najmilszem, najwdzięczniej-
szem polem pracy jest chyba sad i ogród owocowy
i warzywny i, jeśli nie mamy na miejscu, lub w po-
bliżu zapewnionego zbytu świeżych produktów, prze-
rób owoców i jarzyn. Jadamy w ogólności za mało
jarzyn i owoców, szczególnie przez zimowe półrocz-
e wprost zupełnie od nich odwykamy, tymczasem ja-
rzożyny suszone i konserwowane stanowią zdrowy pro-
dukt i powinny być tak tanie, aby wszystkim były
dostępne. Jeżeli sobie przypomnimy, że przed wojną
funtowa paczka wybornych krymskich brzoskwiń
w kompocie kosztowała 25 kopiejek, a także puszka
szparagów w Berlinie 50 fenigów, — mamy dużo cza-
su na to, aby dojść do takich cen i rezultatów. Na
kursach jest przedewszystkiem wykładane winiarstwo
owocowe, — na tym letnim kursie białe wino z po-
rzeczek i agrestu i czerwone z jagód czarnych, które,
nawiasem mówiąc, są podstawowym produktem przy
wyrobie francuskich win czerwonych. Smażenie
wszelkiego rodzaju konfitur, syropów, dżemów i ga-
laret. Konserwowanie w szkle i blaszankach jarzyn
i owoców. Suszenie owoców i jarzyn. Wykłady są
prowadzone tak jasno i dostępne, że nie wymagają
żadnych specjalnych wiadomości przygotowawczych,
po każdym wykładzie teoretycznym następują zajęcia
praktyczne, i obaj prelegenci, prof. Iwanowski i prof.
Meryng, tak wyczerpujące dają objaśnienia, tak na
każde, najbardziej „naiwne“, zapytanie chętnie służą
odповідzią, że nie można wprost się nie nauczyć

masy pożytecznych rzeczy. Kto uważnie tych wy-
kładów przesłucha, porobi sumiennie notatki i chętnie
ręki do praktycznych zajęć przyłoży, wyniesie wia-
domości zupełnie dostateczne, aby dom swój zaopa-
trywać we wszelkie, w ciągu roku całego potrzebne
przetwory warzywne i owocowe, a nawet potrafi je
wyrabiać na sprzedaż. Otóż zdawałoby się, że takie
przystępne i praktyczne kursy powinny liczyć słucha-
czy na setki i na tysiące — tymczasem jesienią kur-
santów było kilkudziesięciu, a teraz, latem kilkunastu.
Tłumaczy się to podobno tem, że nie dopisały zie-
mianki, którym sianokos i żniwa przeszkodziły przy-
jechać do Warszawy. Otóż całe życie gospodarowa-
łam na wsi i nie mogę sobie wyobrazić takiej sytuacji,
kiedyby w czasie sprzętu siana i zboża, które zresztą
nie wiele z gospodarstwem kobiecem mają wspólnego,
już nie sama pani domu, lecz chociaż córka, czy ku-
zynka nie mogły wyjechać na dni dziesięć dla naby-
cia wiadomości pożytecznych na życie całe. Przecież
sezonu dojrzewania owoców letnich nie można zmie-
nić, a kursy bez praktyki, do której niezbędny jest ma-
teriał w postaci tych owoców, nie są do pomyślenia.
Jeżeli Towarzystwo Miłośników Ogrodnictwa nie
zniechęci się i na przyszłość takie kursa urządzać ze-
chce, chyba panie i panny, żadne samodzielnej, ko-
rzystnej pracy, zechcą zrozumieć, że to jedyna może
okazja zdobycia potrzebnych wiadomości, i tłumnie na
te kursy pośpieszą.

Pani Elżbieta.

CZERWCE, CZYLI TARCZYKI.

Zarówno na drzewach, rosnących pod gołym nie-
bem, jak i na roślinach pokojowych, pojawiają się cza-
sem niby drobne narośle, niby grzybki lub pleśnie róż-
nego kształtu, wielkości i barwy. Jedne z nich przy-
pominają kłaczki waty, inne wyglądem naśladują to sa-
dze z lampy, to kaszkę po pniu rozsypaną, to półkuli-
ste lub przecinkowate woreczki o powierzchni rogo-
wej, napelnione w większości wypadków różowym
lub żółtym pyłkiem.

Są to czerwce, czyli tarczyki, owady z rodziny
pluskwiaków, bliskie krewne mszyc, napastujących li-
ście i wierzchołki młodych pędów.

Czerwce zapuszczają ssawki w głąb tkanki roślin-
nej, aż do kanałów, któremi płyną soki: ssawki te,
w kształcie rurki, są nieraz znacznie dłuższe, niż całe
ciało owadu. Szkoda, którą tarczyki wyrządzają roślin-
nie, jest bardzo znaczna, ponieważ nie ograniczają się
one do tej ilości soków, która jest im potrzebna do wy-
żywienia, lecz ssą bez miary, wydzielając obficie po-
karm nieprzetrawiony. Ta obfitość wydzielin jest dru-
gą krzywdą, wyrządzoną roślinie, bo lepka ciecz, za-
sychając na powierzchni liścia, uniemożliwia oddycha-
nie i parowanie wody.

Napotykanne na roślinach i gorliwie tępione przez
wszystkich, osobniki należą wyłącznie do płci żeń-
skiej. Rodzaj męski obdarzyła natura w tym wypad-
ku formą sympatyczną, filigranową budową, eterycz-
ną niemal postacią. Nie u wszystkich odmian czerw-
ców zdołano odnaleźć osobniki męskie, o ile jednak
entomolodzy mieli sposobność zbadać, są to owady
długości około 3, rozpięcia skrzydeł około 5 mm, ma-
jąc odwłok zakończony parą cienkich szczecinek,
znacznie dłuższych, niż tułów. Samiec jest zupełnie
nieszkodliwy, odżywia się tylko do chwili osiągnięcia
pełnego rozwoju, poczem zadaniem jego jest obda-
rzenie jaknajwiększej liczby samiczek swą miłością

i pieśczęcią. Samice natomiast są drobne, nieforemne,
często zupełnie nieruchome, albo zmieniające miejsce
tylko w początku swego życia, choć obdarzone trzema
parami nóg. Za to są one bezgranicznie żarłoczne. Po-
tomstwo bywa wydawane na świat często bez uprzed-
niego zapłodnienia przez samca (dzieworodztwo).
Sposób rozmnażania jest naogół dwojaki: u jednych
odmian za pomocą jajeczek, wymagających pewnego
czasu do wyleżenia się, u innych zaś osobniki żywe
wykluwają się w chwili składania jajeczek. W obu wy-
padkach, po wydaniu na świat ostatniej sztuki, a bywa
ich od 25 do 500, matka zamiera, zwykle jednak po-
śmierci jeszcze przynosi pożytek swym dzieciom, któ-
re pierwsze dni życia spędzają pod jej pancerzem.

Wkrótce po wykluciu, młode czerwce opuszczają
kryjówkę i rozlażą się po roślinie. Są one wtedy zu-
pełnie miękkie, pozbawione pancerza lub płaszcza wo-
skowego, a wskutek tego wrażliwe na wpływy ze-
wnętrzne. Zatem środki, zalecane do wytepienia tar-
czyków, w tym okresie życia najskuteczniej będą dzia-
ły. Nie znaczy to jednak, ażeby w innej porze wal-
ki z tym szkodnikiem należało zaniechać. Każda od-
miana tarczyków, a jest ich kilkanaście, w innej porze
wydaje na świat potomstwo, więc należy się zapoznać
przynajmniej z najpospolitszymi gatunkami, i ich zwal-
czaniem.

Przeciwno temu pasorzytowi bywają zalecane
różne środki, zależnie od gatunku owadu i rośliny na-
pastowanej, pory roku i stopnia rozwoju szkodnika.
A więc środki mechaniczne, jak: zgarnianie, zdrapy-
wanie za pomocą szorowania lub skrobienia, duszenie
przez smarowanie odpadniętych części roślin gliną,
wapnem lub tłuszczem, uśmiercanie działaniem gorą-
cej wody, o ile grubość kory na to pozwala i t. p. Do
środków dezynfekcyjnych zaliczamy: Aphimort, kra-
jowy środek gotowy przeciwko wszelkim mszycom,

używany w danym wypadku w silniejszym stężeniu; wywar tytuniowy, emulsję naftową, mydliny, wykażanie dymami, szorowanie ługiem, albo roztworem karbolineum.

W szklarniach uprzykrzoną jest odmiana czerwca welnistego (*Orthesia insignis*), wroga soczystych roślin cieplarnianych, jak pokrzywa amerykańska (*Co-leus*). Tępi go się często za pomocą mechanicznego oczyszczania roślin pendzelkiem, ale znacznie skuteczniej działałby ten sam pendzelek, maczany w roztworze Aphimortu, użytego w stosunku 100 gr. na 5 ltr. wody, albo zanurzenie całej rośliny w lżejszym roztworze.

Podobne czerwce ukazują się na kaktusach, kwiach i innych roślinach mięsistych, zarówno w cieplarniach, jak i przy hodowli pokojowej i to nie tylko na liściach, ale na pędach, a nawet na korzeniach. W pierwszym wypadku znakomite usługi odda nam także Aphimort, albo wywar tytuniowy, w drugim zaś posypywanie ziemi miałem tytuniowym.

Na wszystkich prawie dzikich roślinach drzewiastych, zwłaszcza na młodych gałązkach, można spotkać różne odmiany czerwca, należące do gatunku *Lecanium*. Na wiosnę są to jasno-żółte zwykle pęcherzyki, niejednokrotnie ozdobione falistym rysunkiem, napełnione żółtą, mazistą cieczą. Z biegiem czasu twardnieją one, ciemnieją, nabrzmiewają, na miejscu cieczy zaś pojawia się około 500 jajeczek, z których wykluwają się młode, pod skorupką zaś pozostaje żółtawy pyłek — skórki jajeczek. Do walki z nimi wystąpić należy bądź w maju, gdy osobniki dojrzewają, bądź w zimie, gdy siedzą w rozwidleniach gałęzi. W lecie należy je tępić mechanicznie, w zimie zaś, oprócz skrobienia i szorowania, stosować zraszanie drzew emulsją naftową z dodatkiem surowego karbolu. Wapnowanie drzew również przyczynia się do wyniszczenia szkodnika. Jedną tylko odmianą, pojawiającą się na jabłoniach, gruszech i głogu (*Lecanium bituberculatum*) zimuje w formie jajeczek, ukrytych pod twardą powłoką pancerza, pozostałego po matce. Z tego powodu należy oczyszczać drzewa mechanicznie koniecznie w okresie zimowym, gdyby zaś w maju ukazały się larwy w postaci drobnych, jasnych pyłków, rozsiianych gęsto po całym pniu, wówczas zastosować zmycie pnia mydlinami, słabą emulsją naftową, albo roztworem Aphimortu. W okresie zimowym łuska owadu jest pod względem zabarwienia bardzo podobna do łusek kory, więc spostrzeżenie szkodnika wymaga pewnej wprawy. Niewyrobione oko może tarczki uważać za pączki drzewa.

Znany pomolog, Goethe, twierdzi, że *Lecanium* wytwarza u drzew skłonność do raka. Zdarza się, że *Lecanium* pojawia się i na roślinach pokojowych, ale wskutek sztucznie wysokiej temperatury, panującej w mieszkaniach, nie można ustalić terminu wylęgania się młodych. Z drugiej strony, zabezpieczone od chłódów, nie wytwarzają równie twardej pokrywy, jak pod gołym niebem, dzięki czemu łatwiej podlegają niszczącym wpływom stosowanych przeciw nim środków. Jeżeli pojawią się na roślinach zdrzewniałych (np. mirty), to zaleca się krótkie przycięcie gałązek, a następnie zamoczenie rośliny w papce z gliny z krowieńcem. Powstająca skorupa dusi tarczki, a przy dalszym rozwoju rośliny odpada kawałkami wraz ze szkodnikiem. Na delikatniejszych roślinach trzeba się uciec do zmywania pasorzyta roztworami środków, zalecanych do zwalczania mszyc.

Również na wielu roślinach można zauważyć gatunek *Pulvinaria*, który w cieplarniach pojawia się prawie wyłącznie na winorośli. Jajeczka zostają złożone nie pod pancerzem egzemplarza żywiodawczego,

lecz w oprzęd białych, welnistych nitek. Łatwo dostrzegalne oprzędy niszczy zwilżenie ich roztworem Aphimortu, albo spirytusu denaturowanego.

Ostatnia grupa czerwców — są to właściwe tarczki, obsiadające masowo najczęściej pień i konary, rzadziej liście, bardzo wielu roślin, zarówno zimotrwałych, jak i egzotycznych. Miejsca opadnięte pokrywa strup, złożony z drobnych, około 1 mm mierzących tarcz, pod których osłoną rozwijają się i mnożą pasorzyty. Gatunek ten liczy i u nas wiele odmian, wymienimy jednak tylko najczęściej spotykane.

Na palmach oleandrach (*Nerium*), bobrownikach (*Magnolia*), ospielicach (*Aucuba*) i innych roślinach wiecznie zielonych, pojawia się *Aspidiotus nerii*, tarczownik oleandrowy, jeden z najpospolitszych w hodowli pokojowej. Pokrywa on liście, rzadziej pień, białawymi, okrągłymi lub podługowatymi tarczami, po zdjęciu których ukazuje się żółty punkt, wielkości główki od szpilki. Jest to ciało owadu.

Jeżeli we właściwym czasie nie wypowiedzieć wojny tym wrogom, mogą one zniszczyć zupełnie opadnięte rośliny, zwłaszcza, że się osiedlają wyłącznie na okazach słabych, chorych. Ta właściwość wskazuje nam jeden ze sposobów walki, za pomocą starannego pielęgnowania i intensywnego zasilania, wystawiania latem na świeże powietrze, należy poprawiać stan zdrowotny rośliny. Mechaniczne oczyszczanie szczoteczka, maczana w Aphimortcie, mydlinach lub odwarze tytuniowym, uwalnia pacjenta przynajmniej na jakiś czas od pasorzytów. Bywa również zalecane zatapianie części nadziemnych rośliny (nie ziemi i korzeni) na dwa do trzech dni w wodzie z małym dodatkiem Aphimortu lub ekstraktu tytuniowego, np. 50 gr. Aphimortu, lub 1 łyżka odwaru tytuniowego na 10 ltr. wody.

Na drzewach owocowych pasorzytuje *Aspidiotus ostraformis* i *Aspidiotus pyri*, kształtu owalnego, barwy ciemnobronzowej lub czarniawej. Rozmnaża się pomiędzy 5 a 15 lipca, młode wykluwają się z jajeczek w chwili ich złożenia. Szkodliwość ich polega na tem, że silnie wysuszają korę. Drzewa silnie opadnięte powleka się warstwą tłuszczu, w zimie zaś wapnem z dodatkiem surowego karbolu lub karbolineum. W chwili, gdy młode, nieopancerzone tarczki, pod postacią żółtych pyłków, rozchodzą się po pniu, można je niszczyć, przecierając drzewa ostrym gałganem, maczanym w roztworze Aphimortu, w mydlinach, albo w odwarze tytuniowym.

Groźniejszym jest *Diaspis pyri*, który się gnieździ prawie wyłącznie na gruszech. Tarcza biaława lub szara pokrywa ciało czerwonej barwy. Ten gatunek, choć bardzo drobny, ssie tak silnie, że tam, gdzie się przyczepi, kora usycha, a powstaje bąbel. Opadnięte pędy owocowe giną wskutek braku pożywienia. Zimuje, jako doskonała samica. To też najskuteczniejsze okazało się szorowanie drzew podczas zimw ostreimi roztworami.

Diaspis rosae, jedyny tarczyk, który nawiedza nasze róże, ukazuje się w różnych porach roku, stosownie do tego trzeba też wybierać środek zwalczania, z pomiędzy poprzednio opisanych.

Tarczyk przecinkowaty (*Mytilaspis pomorum*) jest bardzo pospolitym, nieodstępny prawie towarzyszem drzew słabo rosnących, chorych gruszy i jabłoni, zwłaszcza w zagęszczonych sadach. Głównym środkiem ochronnym jest staranne pielęgnowanie drzew, gdzie zaś ten warunek nie został spełniony, tam trzeba niszczyć szkodnika wszystkimi wymienionymi sposobami. Młode wylęgają się z przezimowanych jajeczek w końcu maja, lub w początku czerwca. Są one z po-

czątku tak delikatne, że można je zniszczyć, wycierając drzewa po wykluciu się młodych zwykłą ścierką, suchą albo umoczoną w jednym z wymienionych roz-
tworów.

Istnieje wiele jeszcze gatunków i odmian tarcz-
ków, wyniszczających nasze drzewa owocowe i dziko
rosnące, jak wierzyby, jesiony, dęby, jodły, wyliczenie
ich wszakże byłoby tutaj bezcelowe, bowiem kto
chciałby je tępić, powinien posługiwać się metodami
wyżej opisanymi. I tak lista najpospolitszych czerw-
ców jest nużąc do długa. Pocieszymy się jednak tem, że
niema w niej tarczka, znanego pod nazwą „San-José”,
pustoszącego całe plantacje w Ameryce. Na szczęście,
Europa mało sprzyja jego rozwojowi, więc nawet za-
wleczenia go do nas nie potrzebujemy się obawiać.

Stan. Schönfeld.



MAKOWNIKI (makagigi).

Kilo maku wstawić w piec dobrze jeszcze ciepły
po chlebie, lub pod blachę zaraz po obiedzie i suszyć
do dnia następnego. Pół kilo miodu zasmażyć, wsy-
pać doń mak i smażyć, mieszając na wolnym bardzo
ogniu, aż masa się stanie tak gęstą, żeby po wzięciu
w zmoczone zimną wodą palce, można było kulke
z niej ukłęcić. Wysmarować oliwą blat marmurowy,
lub odwrotną stronę metalowej tacy, na to wyłożyć
makową masę, wysmarowanym oliwą wałkiem, roz-
wałkować do grubości pół palca, gdy nawpół przesty-
gnie, krajać ostrym nożem na nieduże, zgrabne kawał-
ki, gdy ostygną zupełnie, przechowywać w słoju w su-
chem miejscu. Chcąc, aby makowniki wyglądały bar-
dziej elegancko, natychmiast po wyjęciu z rondla, na-
kłada się ciekłą warstwę masy na duży opłatek, przy-
wałkowuje cienko, aby było równo, pokrywa drugim
opłatkem, przyciska jaką deską i ciężarkiem. Gdy
już prawie zupełnie zimne, i dobrze z opłatkem połą-
czone, kraje ostrym nożem w zgrabne kawałki.



DOBRE RADY.

Zależnie od ilości firanek do ukrochmalenia, bierze się
1 część krochmalu pszennego, 1 część krochmalu ryżowego,
które rozrabia się na gęstą równą papkę, w małej ilości wody,
dodaje następnie potrzebną ilość wody i ciągle mieszając, 1 część
talku białego. Mieszanie tę zagotować krótko i jeszcze rozebrać
woda. Firanki kładzie się do gorącego jeszcze roztworu. Chcąc
nadać kolor écre lub kremowy firankom i koronkom — bierze
się 40 gr. herbaty, zagotowuje, filtruje, i firanki lub koronki kła-
dzie się do otrzymanej cieczy, przekonawszy się poprzednio na
próbce, czy kolor jest odpowiedni. Za pomocą wody można go
dopasować. Drugi sposób otrzymania koloru kremowego lub
écre jest bawlnik anilinowy żółty „Filadelfia G. lub R.”

Korespondencje działu praktycznego. Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Dentystce.

Nigdy nie można być pewną odcienia przy farbowaniu
włosów. Należy używać farby roślinne, jednak najlepsza farba
czasem może dać kolor zupełnie niespodziewany — czerwony
lub zielony. Jeśli ktoś musi farbować włosy, to powinien być
na to przygotowany, nie rozpaczać, lecz natychmiast drugi raz
i trzeci ponowić zabieg. Chodzi tylko o to, by farba nie była
szkodliwa i nie niszczyła włosów.

Opis sukien i robót do № 35.

768. Palto z peleryną z kasha brązowego.
169. Palto z peleryną z kasha piaskowego.
770. Palto z welny w kratę przybrane gładkiem sukniem.
771. Suknia z popeliny ciemno-zielonej — kołnierzyk biały.
772. Suknia plisowana dla dziewczynki sześciolatniej.
773. Sukienka przybrana aplikacją dla dziewczynki pięcio-
letniej.
774. Spódnica w kratę i żakiet w jednym kolorze.
775. Suknia przybrana haftem i płaszcz z czerwonego rypsu.
776. Kostjum granatowy, układany w kontrafałdy.
777. Palto z kasha, koloru bois de rose.
778. Paltocik z welny w kratę dla dziewczynki siedmio-
letniej.
779. Płaszcz z peleryną dla dziewczynki dziesięcio-
letniej.
780. Kostjum z plisowaną spódnicą z welny ciemnobron-
zowej.
781. Paltocik dla dziewczynki sześciolatniej.
782. Suknia z crêpe marocain koloru rezedowego, przy-
brana ciemniejszym aksamitem.
783. Ubranko dla chłopczyka sześciolatniego.
784. Palto z angielskiego materiału dla chłopca ośmiolet-
niego.
785. Suknia wełniana koloru pervenche.
786. Narożnik serwetki — haft richelieu.
787. Narożnik serwetki — haft angielski.
788. Narożnik chusteczki.
789. ¼ serwetki okrągłej — haft richelieu na tiulu.
790. Wzór na okrągłą serwetkę — haft kolorowy.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Do-
datku Mód, dostarczamy po cenach następujących:
palto, lub suknia fantazyjna zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzy-
maniu przy zamówieniach n a l e ż n o ś c i w znacz-
kach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy
co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzor-
ów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które
były dodawane do „Bluszcza“ w ciągu roku 24 i 25
i których pozostała niewielka ilość możemy odstąpić
naszym Czytelnikom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku
mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego
i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej
po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2.50, poduszka — ser-
wetka — zł. 1.50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wy-
mienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów,
poza temi, które były umieszczane w „Bluszcza“, nie
wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż
forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumera-
torek nie wykupuje zamówień, narażając nas na du-
żę stratę.